

Linda Conrad
Magiczne zwierciadło

scandalous

PROLOG

- Weź je - powiedziała stara Cyganka, Passionata Chagari.
- To lusterko miało być właśnie dla ciebie.

Przymrużyła oczy, obserwując, jak Tyson Steele ogląda się przez ramię, czy ktoś nie stoi za nim na opustoszałym Rynku Francuskim. Zachichotała, gdy młody spadkobierca rodu Steele'ów dał za wygraną. Wiedziała, że znalazł ją w jej kącie dlatego, że godzinę wcześniej spotkał się ze swym kuzynem Nicolasem Scoville'em, któremu podarowała w tym samym miejscu pewną starą księgę. Młodego Tekszańczyka przygnała tu, w pogodny wieczór nowoorleański, ciekawość, choć może nie tylko to.

Tak czy owak, bardzo dobrze, że przyszedł, bo i wobec niego ród Chagarich miał pewien stary dług.

Tyson wzruszył ramionami.

- Niczego od ciebie nie wezmę, póki się nie dowiem, o co tu tak naprawdę chodzi.

- Ależ o nic - wzruszyła ramionami Cyganka. - Zwracam ci tylko to, co ci się należało w spadku.

- W jakim spadku? - uniósł brwi. - O czym ty, kobieto, mówisz? Nie jestem dziś w nastroju do żartów.

Przez usta Cyganki przemknął cień uśmiechu.

- Wiem, że nie jesteś w nastroju, młody człowieku... Już choćby dlatego, że wiele godzin spędziłeś na pogrzebie swej ciotecznej babki Lucylli. I wiem również, że nie zostałeś należycie uwzględniony w jej testamencie.

- A co to ma do rzeczy? - skrzywił się Tyson. - Ona już dawno ofiarowała mi wszystko, czego naprawdę potrzebowałem. I za co nigdy jej się nie wypłacę, choćbym żył tysiąc razy.

- Ale tu właściwie nie chodzi o dar Lucylli Steele... - zaproponowała Passionata. - Lusterko należało do pewnego króla cygańskiego. Chociaż to właśnie dzięki babce on się tobą zainteresował. Sam był jej dłużnikiem. Ale to dość skomplikowana historia.

- Słucham? - Tyson zamrugał oczami, pakując ręce do kieszeni, aby nie wziąć cacka, które usiłowała mu wcisnąć stara. - Co znów za historia, jaki król cygański? To są wszystko jakieś brednie... Czy my jesteśmy w ukrytej kamerze?

Cyganka zaśmiała się.

- Zapewniam cię, że nie. A król cygański był po prostu moim ojcem. Nazywał się Karl Chagari. Na co dzień był mistrzem kotlarskim i po trosze magikiem... Dawno już odszedł do krainy przodków - zniżyła głos. - Tak jak twoja babka Lucylla. Ja ojcu obiecałam, kiedy umierał, że pospłacę wszystkie jego długi.

Tyson zerknął na staroświecki przedmiot w rękach Cyganki. Ciekawe, komu to ukradła, pomyślał.

- Długi, mówisz... Nie znam wszystkich dłużników babci Lucylli. W każdym razie to lusterko... Nie, nie, to nie ma sensu - rozejrział się. - Ja przeszedłem tutaj tylko dlatego, że

mój kuzyn Nick naopowiadał mi o tobie różnych dziwnych rzeczy.

- Weź to zwierciadełko - syknęła Cyganka, wykonując niecierpliwy gest. - Ono jest magiczne, a po drugie - jest po prostu twoje. Spełni najskrytsze pragnienia twego serca, zobaczysz.

Tyson wykrzywił usta.

- Chcesz, żebym wierzył w jakieś cuda? - Wzruszył ramionami. - Zresztą moje pragnienia są raczej prozaiczne. W tej chwili, jeśli musisz wiedzieć, szukam kogoś, kto zająłby się w mojej fundacji dobroczynnej pozyskiwaniem środków... Ale w tym chyba mi lusterko nie pomoże?

Passionata wiedziała o tym kłopotcie Tysona. Wiedziała, jak trudno mu znaleźć kogoś, kto zechciałby się zaszyć w małej prowincjonalnej miejscinie na południu Teksasu, gdzie młody Steele działał.

- Weź to lusterko - powtórzyła. - Myślę, że i w tej sprawie się nie zawiedziesz.

Tyson zawahał się.

Ostatecznie co szkodzi przynajmniej obejrzeć tę zabawkę bliżej?... Zdaje się, że miała metalową oprawę, z girlandą listków ozdabiającą boki.

Wyciągnął rękę.

Cyganka położyła mu na dłoni lusterko grzbietem do góry.

W błysku latarni Tyson ze zdziwieniem dostrzegł wygrawerowane na oprawce własne nazwisko.

- Co u licha... - zamruczał.

- Widzisz? Mówiłam ci, że należy do ciebie. „Tyson Steele”, tak tu jest napisane.

Odwrócił lusterko. I ściągnął brwi. Spojrzał pytająco na Cyganke.

- Tu się nic nie odbija - powiedział. - To przecież nie lusterko, a zwykły kawałek szkła! Nic nie rozumiem.

- Z czasem zrozumiesz - uśmiechnęła się. - To zwierciadło odbija los, a nie po prostu twarz. Na twój los przyjdzie jeszcze pora.

Passionata skorzystała z tego, że Tyson Steele skupił się na oglądaniu prezentu i usunęła się z pola jego widzenia.

Kiedy podniósł głowę, by dalej ją o coś pytać, spostrzegł, że jest już sam.

- Gdzie ona znikła - zamruczał. - Niebywałe... W ogóle dziwny dzień... Najpierw pogrzeb biednej babci, potem ten Nick, od którego prawie nic się nie udało wyciągnąć, dalej kłopot z asystentem, a teraz kłopot z tym bzdurnym lusterkiem.

Passionata uśmiechnęła się, obserwując Tysona w swej kryształowej kuli.

- Kłopot minie - szepnęła. -. Wszystko z czasem ci się rozjaśni, o ile przyjmiesz dar widzenia i użyjesz swoich własnych czarów, młody człowieku.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zaserwować kawę? Też coś... Merri Davis wzruszyła ramionami. Niech on jej wpierw zaserwuje jej prawa pracownicze, niech poda zakres obowiązków.

Jednak Merri nic nie powiedziała głośno. Nie otworzyła swych pięknie wykrojonych ust. Bez sprzeciwu wyszła z gabinetu, aby wykonać polecenie szefa, którego zresztą ledwie zdążyła poznać. Tyson Steele wrócił z podróży do Nowego Orleanu dopiero przed godziną.

A więc taki jest ten Steele. Wygląda na męskiego szowiniście, uznała Merri nastawiając ekspres, traktującego kobiety jak istoty niższe. Ona tu się nie angażowała na byle kogo, na „przynieś-podaj-pozamiataj”. Miała być asystentką w fundacji - tymczasem zaczyna od robienia kawy. .. I w ogóle nie przywykła do ról podrzędnych; jej zdjęcia nie schodziły dotąd z pierwszych stron kolorowych gazet... No tak, ale akurat to wołałaby przed tym błękitnookim bossem ukryć. Ciekawe, czy jej się to uda; maskujące okulary i skromna fryzura mogą się okazać niewystarczające.

Merri Davis miała swoje powody, by zrezygnować z kariery top-modelki, obfotografowywanej w tabloidach. Zaszła się w tej małej mieścinie teksańskiej, aby właśnie uciec od

paparazzich z ich teleobiektywami. Miała nadzieję, że uciekła skutecznie.

Jak na razie, nie jest źle, pocieszała się w myślach. Nikt na nią nie zwraca uwagi na ulicy; również w biurze zdołała zachować swe incognito.

Posadę znalazła dzięki swojemu adwokatowi z Los Angeles, który miał przyjaciela tu, w Teksasie. Zatrudnił ją prawnik Steelego, Franklin Jarvis. Jarvis nie zadawał zbyt wielu pytań; zresztą zaserwowała mu zgrabną historyjkę o tym, że oto właśnie po romansie ze swym adwokatem szuka cichego miejsca do życia i że tu, w tej miejscinie, będzie jej najlepiej.

Owa historyjka zresztą zawierała nawet ziarno prawdy. Otóż, Merri w istocie od dawna marzyła o cichym miejscu do życia. Wir wielkomiejski, kariera modelki, nieustanne błyski fleszów i ochroniarze dookoła - wszystko to nie było tym, do czego czuła się stworzona.

No więc... zrobi zaraz tę nieszczęsną kawę Steele'owi i będzie słuchała jego poleceń, jeśli to jest cena do zapłacenia za jej nową tożsamość, za azyl i za spokój.

Poprawiła zebrane w kucyk włosy i wyprostowała się, ujmując tacę. Ruszyła z powrotem do gabinetu szefa.

- Dzięki - rzucił z roztargnieniem Tyson, gdy postawiła mu kubek na biurku. - Siadaj - wskazał ręką jedno ze składowanych, plastikowych krzesełek.

Mógłby mieć lepsze maniery, przebiegło jej przez głowę. Usiadła jednak bez sprzeciwu i czekała, aż Tyson skończy rozmawiać przez telefon. Spuściła wzrok, ale co parę chwil zerkała na szefa zza swych grubych, maskujących okularów.

Upewniła się co do tego, że ma przed sobą wręcz wzorowy

okaz męskości. Męskości - opiętej w przetarte dżinsy, w koszuli z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi muskularne ramiona, i z inteligentnymi oczami, w których czaiło się coś trochę groźnego. Masz ci los! Nagła fala gorąca przetoczyła się przez jej wnętrzności, lecz postarała się to zignorować.

Rozejrzała się na boki. Była już w tym pokoju kilka razy, zresztą zdażyła zwiedzić całe biuro. W ciągu dwóch dni, od kiedy tu pracowała, musiała się przecież zapoznać z terenem. Pokazano jej także spis potencjalnych donatorów Fundacji pracującej na rzecz sierot. Nie sądziła, aby mogła mieć kłopoty z dotarciem do któregośkolwiek z nich.

Co innego natomiast mogło się okazać kłopotliwe. Prawnik Tysona półżartem poprosił ją, żeby spróbowała trochę „ucywilizować” ich szefa. Steele był milionerem, kompetentnym fachowcem, ale ponoć nie był światowym człowiekiem. Co zresztą wcale nie pomagało mu w interesach, a pan Jarvis dobrze życzył swojemu klientowi. Pan Jarvis miał nadzieję, że profesjonalistka z Los Angeles pomoże „chłopcu z Teksasu” pozbyć się pewnych zbytecznych prowincjonalizmów.

Ba, lecz jak tu zająć się „cywilizowaniem” tak mocnego (i pięknego) mężczyzny? Merri poczuła, że chyba nie sprosta powierzonej misji, którą Franklin chce jej powierzyć.

Tyson odłożył słuchawkę i sięgnął po kubek z kawą.

- Mmm. Pachnąca i mocna. - Pociągnął łyk, lecz zaraz się skrzywił. - O cholera, chyba zrobiłaś mi za mocną? I za gorącą - otarł sobie usta.

Merri uznała, że będzie się broniła.

- Bo taki ma pan ekspres. Mógłby pan na początku dwudziestego pierwszego wieku zamówić jakiś lepszy.

Tyson Steele przymrużył oczy. Przytarłby różków tej dziewczynie, ale uznał, że może nie teraz. Odstawił kubek, sięgając do stosu papierów.

- A więc, panno... - Zawahał się co do jej nazwiska, podnosząc głowę i znowu mrużąc oczy.

Poczuła, że do pierwszej fali gorąca, która się przez nią przetoczyła, dołącza teraz następna. Niebezpiecznie błękitne oczy ma ten jej szef.

Nabrała dużo powietrza.

- Davis - odpowiedziała szybko. - Ale proszę mi mówić Merri, panie Steele.

Skinął głową.

- A więc Merri - zgodził się. - No dobra, wobec tego ja jestem Tyson. „Tyse” w skrócie... Prawie wszyscy tak mnie nazywają. Wyjąwszy moją ciotkę Jewel, która upiera się przy Tysonie. A w sytuacjach, gdy ciocia chce mnie spławić, dorzuca jeszcze swoje i moje nazwisko, Adams Steele.

Zdziwiła ją jego nagła elokwencja i przyjacielskość. A kiedy jeszcze się uśmiechnął, uznała, że to po prostu czaruś. Do licha, nie wiadomo, jak z takim postępować. Nieraz była uwodzona przez mężczyzn, nieraz jej się oświadczano, ale poczuła, że takiego podrywacza jak ten tutaj, jeszcze na swej drodze nie spotkała.

- Twoja ciotka to Jewel Adams? - Merri poprawiła okulary. - Co za zbieg okoliczności! Bo ktoś taki jest moją nową gospodynią. Mieszkam tutaj u pani Jewel Adams.

Tyson przekrzywił głowę, przyglądając się swojej sile biurowej ze zdwojonym zainteresowaniem.

- Czyli że wynajęłaś coś w tym zrujnowanym domu przy

Jackson Street? Tak? Hm, sam wychowywałem się tam przez ileś lat, u ciotki, po tym, jak zginęli moi rodzice.

- O, jesteś sierotą? - Serce Merri zapętało nagłym współczuciem.

- Nie myślę o sobie w ten sposób - zaśmiał się Tyson. - W każdym razie już teraz nie myślę. Pewnie zauważyłaś, że jestem raczej dużym chłopcem. Całkiem dojrzałym.

Jasne, że zauważyła. A jego dojrzałość zaprzętała ją do prawdy ponad miarę, zupełnie ją teraz pochłaniała.

- Ten dom jest stary, ale nie jest zrujnowany - zauważyła, pokonując chrypkę. - Zwłaszcza wewnątrz był chyba ostatnio remontowany? Wydaje mi się całkiem przytulny.

- Tak, Jewel coś tam zarządziła - przyznał Tyson. - Odmalowała pokoje i poprawiła podłogi. Ale dach zacieka, hydraulika jest do naprawienia, a przewody elektryczne są wszystkie do wymiany. Miałem ciotce pomóc w remoncie, ale jakoś się nie składało.

- Mnie się podoba tak, jak jest - wzruszyła ramionami Merri. I pomyślała, że woli ten podupadły domek od wielu luksusowych hoteli, w których przemieszkiwała w życiu, a także od bogatych apartamentowców, będących własnością jej rodziców. Rodziców, od których nieraz uciekała, nie mogąc znieść ich sztucznych uczuć, sztucznej egzystencji, blichtru, służby i tym podobnych rzeczy.

- Podoba ci się? - Tyson uniósł jedną brew. - Możesz zmienić zdanie, kiedy przyjdą deszcze i zaczniesz ci kapać na głowę... Ale wiesz co? Miałbym pewien pomysł. Jeśli ty na serio zajmiesz się moją fundacją, to ja poświęcę ileś dni na doprowadzenie domku ciotki do porządku. Co ty na to?

- Jak to na doprowadzenie domku... Chcesz powiedzieć, że gotów to jesteś zrobić własnoręcznie? Zamiast wynająć kogoś? To ty masz czas na takie rzeczy?

Zaśmiał się z cicha i wstał, podchodząc do szafy na dokumenty.

- Tak, zrobię to własnoręcznie. Bo wyobraź sobie, że w istocie mam mnóstwo czasu. Mój interes toczy się właściwie beze mnie. Mam świetny personel, taki, któremu mogę zaufać. Dlatego też założyłem tę swoją fundację; chciałem mieć coś do roboty. Nie lubię być bezczynny.

Otworzył drzwiczki i wyjął z szafy plik korespondencji.

- A wiesz, jak zarobiłem pierwszy milion? - odwrócił się. - Otóż remontowałem kiedyś stare domy, na sprzedaż. I oczywiście robiłem to własnoręcznie. Do dziś Kocham tamte wspomnienia. Praca ręczna mnie odpręża.

Potrząsnął plikiem listów.

- Ale tak jak z łatwością macham jakimś młotkiem - wruszył ramionami - tak z trudem radzę sobie przy negocjacjach z donatorami. A moja Fundacja Na Rzecz Dzieci Poszkodowanych jest dla mnie rzeczą bardzo ważną.

Spojrzał na nią tak szczerze, że w Merri stopniało serce. Stopniało i zaraz zatrwożyło się, bo w oczach Tysona zamigotało coś ciemnego, jakby ból, coś, czego nie spodziewała się nigdy dostrzec w tym twardym mężczyźnie.

- Wierzę, że to ważne - powiedziała cicho. - Wspominał o tym pan Jarvis, twój prawnik. Powiedział też, ile masz już sukcesów.

Tyson przyglądał jej się przez chwilę. Potem wręczył jej trzymany plik.

- A mnie Frank Jarvis zapewnił, że ty sobie świetnie radzisz z takimi sprawami, że masz dobre rekomendacje. Twierdził, że zdobyłaś doświadczenie we współpracy z organizacjami non-profit. Dlatego mam nadzieję, że zdejmiesz ze mnie większość obowiązków, między innymi prowadzenie korespondencji. Niektóre z tych listów - pokazał głową - czekają na odpowiedź już kilka miesięcy.

- Donatorzy bywają zawiedzeni, kiedy im się nie podziękuję, to jasne - Merri zaczęła kartkować plik. - Ale i tak zrobię, zdaje się, bardzo dużo. Jesteś pracowity.

- No, bez przesady - przeciągnął się nagle Tyson. - Zwykle miewałem jakieś asystentki, nigdy nie pracowałem sam. Nie jesteś pierwsza na tej posiadzie. Raczej chyba czwarta... czy może piąta? Co prawda żadna z tych pań nie zagrzała tu nigdy dłużej miejsca.

- Nie? A dlaczego, jeśli wolno spytać? Płacisz chyba nieźle, biuro też masz wygodne. Dlaczego odchodziły?

Poruszył brwiami.

- Czy ja wiem... Może zniechęcało je to małe miasteczko? Nie ma tu żadnych rozrywek Ani kina, ani kręgielni. Żadnej dyskoteki. Najbliższe centrum mody jest trzy godziny jazdy s t ą d

Przerwał, z zakłopotaniem przeczesując włosy.

- Ta piąta, odchodząc, miała do mnie jeszcze pretensje osobiste... Nauragała mi.

Merri poczuła się spłoszona.

- A co się stało?

- Krzyczała, że nie widziała jeszcze takiego monstrum jak ja.

- Monstrum? Chyba nie molestujesz swego personelu?

- No nie, skądże. Mam tylko dość bezpośredni sposób bycia. .. I to samo lubię u innych. Nie cierpię owijania w bawełnę i w ogóle żadnego kłamstwa.

Oboje przez chwilę milczeli. Merri poczuła nagle, że ma nieczyste sumienie. Bo przecież ona właśnie okłamuje Steele'a, i zresztą wszystkich w tym Stanville, podając się za kogoś całkiem innego, niż w rzeczywistości jest.

- No, na mnie pora - poruszył się Tyson. Podszedł do wiszaka i zdjął z niego swój kowbojski kapelusz. - Mam teraz spotkanie z Jarvisem i z tym nowym donatorem. Wrócę za parę godzin. Może wtedy zjemy razem lunch?

Bezpośredni sposób bycia. Otóż to: chyba rzeczywiście taki jest ten Tyson, pomyślała Merri.

- Kto wie - odpowiedziała. - Ale nie spiesz się. Zostawię mi kupę roboty - zważyła plik korespondencji w rękach.
- Mam nadzieję, że sobie z nią jakoś poradzę.

Steele ruszył do drzwi i przekroczył próg, przykładając palec do ronda swego stetsona. Kiedy zniknął, Merri znów usłyszała w sobie głos sumienia. Co za pech, że trafiła akurat na szefa, który ma obsesję na punkcie prawdomówności. Jak ona sobie z nim poradzi? Jak długo uda jej się grać bez przeszkód wymyśloną niedawno rolę tej Merri Davis, jaką przecież nie jest? Oto wielkie pytanie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Coś tu się nie zgadzało z tą nową asystentką, Tyse wyczuwał to przez skórę. Prowadząc dżipa w drodze do biura swego prawnika, bez przerwy rozmyślał o Merri.

Przede wszystkim spadła mu jakby z nieba, już samo to jest dziwne. Wracał z Nowego Orleanu zawiedziony, bo nikogo tam nie znalazł, a tymczasem tu na miejscu czeka ktoś narajony przez Franka.

I to kto czeka! Dotychczasowe panienki, które zatrudniał, bywały raczej zalotne niż fachowe. Natomiast ta... Ta ma wygląd profesjonalny: w tym czarnym żakiecie ze spodniami, w butach na płaskim obcasie, z poważnym wyrazem twarzy. I w dodatku jakby nie przez pomyłkę znalazła się w tej miejscinie, którą przecież tamte dziewczyny pogardały. Wynajęła mieszkanie u ciotki Jewel, nie gdzieś w motelu...

Stanville. Stanville było domem Tysona. Kochał to miejsce i był wdzięczny losowi, że mógł zostawić za sobą wielkie centra, gdzie studiował i gdzie bywał od czasu do czasu, ale gdzie na szczęście nie musiał mieszkać. Czuł się u siebie tylko tu, na teksańskiej prowincji. Miał dość pieniędzy, by żyć w dowolnym miejscu na globie, jednak nie pociągały go żadne „dowolne miejsca”. Pociągało go właśnie Stanville.

Dziwna ta panna Davis... Właściwie jak tu zabłądziła? Warto by się tego dokładniej dowiedzieć. Trzeba będzie o wszystko wypytać Franka Janasa.

Zwolnił na chwilę, wymijając ciągnik rolniczy, jadący poboczem.

No więc tak, panna Davis... Przystojna z niej kobieta, chociaż nosi te niemodne okulary. Skórę ma gładką, włosy blond. Ale to chyba rozjaśniane włosy? Bo u ich nasady widać ciemniejsze odrosty... Nie maluje się, krótko obcina paznokcie, nie nosi biżuterii. Jest zgrabna, szczupła. Nawet bardzo zgrabna! Ciekawe, jaka jest pod spodem, pod tym swoim uniformem?

Tyson uśmiechnął się. Ech, co też mu chodzi po głowie.

Okulary, okulary. Ale zza tych okularów patrzą niezwykle piękne oczy! Zielone. Pełne blasku. Po prostu dwa szmaragdy.

Właśnie, szmaragdy. Te oczy są właściwie zbyt piękne, jakby zbyt cenne w tak skromnej osobie... Naprawdę dziwna jest ta Merri Davis. Bardzo tajemnicza i dziwna.

Skręcił na podjazd przed biurem Janasa. Zaparkował i skierował się prosto ku salce konferencyjnej, gdzie umówił się z Frankiem. Zapowiedziany donator jeszcze nie przybył. Miał to być jakiś bogaty farmer, zajmujący się też produkcją drewnianych uchwytów do narzędzi.

Frank wstał na widok gościa.

- Witaj, Tyse. Wiem, że byłeś na pogrzebie swej babki Lucylli. Pozwól, że złożę ci wyrazy współczucia.

- Dzięki - Tyson uściśnął wyciągniętą rękę. - Babunia miała już swoje lata... Cóż, umarła lekko, we śnie... I za-

skoczyła nas wszystkich. Nie zdążyłem z nią przedtem nawet pogadać.

- Siadaj - Jarvis wskazał miejsce. - Zaskoczyła cię, mówisz?

- Właśnie. Bo chętnie bym ją jeszcze wypytał o to i owo.

- Na przykład o co?

- Choćby o tę Cyganekę... Ja i mój kuzyn mieliśmy dziwne spotkanie na Rynku Francuskim, w Nowym Orleanie. Jakaś Cyganicha wcisnęła mi pewne lusterko. Nicolas dostał bardzo starą księgę. Cyganika powiedziała, że to się wszystko wiąże z naszą Lucyllą.

- Coś podobnego - Jarvis pokręcił głową. - Z Lucyllą. No, ale co było dalej?

- Dalej? Właściwie nic. Bo Cyganika nagle zniknęła.

- Jak to zniknęła?

- Rozmawiałem z nią, jak z tobą teraz. Przez chwilę nie zwracałem na nią uwagi, a kiedy podniosłem głowę, już jej nie było. Po prostu rozplynęła się w powietrzu.

- Hm, bardzo dziwne. I co dalej?

- Czy ja wiem? Może warto by ją odnaleźć?

- Tam, w Nowym Orleanie?

- Tak myślę.

-I co, chcesz, żebym ja coś w tej sprawie zrobił? Dobrze zgaduję? Jakies małe, prywatne śledztwo?...

Tyson zaplótł ręce i zakręcił młynka kciukami.

- Kto wie, kto wie... Ale to może trochę później. Bo na razie byłaby rzecz bardziej aktualna. - Tyson odchrząknął.
- Słuchaj Frank, na razie to ja bym chciał wiedzieć coś więcej o tej mojej asystentce, którą dla mnie zaangażowałeś.

- O Merri? Aa, świetna dziewczyna, nie? Myślę, że właśnie kogoś takiego szukałeś. To profesjonalistka.

- Profesjonalistka, mówisz. Ale skądś ty ją wytrzasnął? I dlaczego ktoś taki miał ochotę zagrzebać się tu, na naszej prowincji?

Frank uśmiechnął się.

- Hm... Przyznasz, że jej poprzedniczki nie dorastały jej do pięt, nie? Ich głównym celem było raczej złapanie męża niż sprawdzenie się w robocie.

- Złapanie męża? Może. Ale zaraz, masz na myśli mnie?

- A kogo? Jasne, że ciebie.

Steele zamrugał oczami. Widać było, że jest zaskoczony.

- Nie przesadzasz, Frank?

- Raczej nie przesadzam. Każda z tamtych pań próbowała cię złowić, wszyscy to widzieli. Przyjeżdżały, bo z różnych mediów wiedziały, że jesteś bogaty i tak dalej. Ale kiedy im się nie udawało, rzucały Stanville i ruszały dalej szukać szczęścia.

Tyson dłuższą chwilę nie mógł zebrać myśli. Wreszcie pochylił się w stronę Jarvisa.

- Sądzisz, że to tak właśnie było? Tylko że ja żadnej z nich nigdy nie dałem powodu... No nie, niemożliwe. Zresztą ja się w ogóle nie zamierzam żenić!

- Na pewno nie? - w oczach Franka zamigotało rozbawienie. - A niby dlaczego nie? Chcesz zostać starym kawalerem? Z jakiego powodu? Może jakaś baba złamała ci kiedys serce?

Tyson wzruszył ramionami i westchnął. Cóż, Jarvis trafił w dziesiątkę. Ileś lat temu Ty zawiódł się na swojej Diane,

przyjaciółce z studiów. I wtedy właśnie dał sobie słowo, że nigdy już nie uwierzy w żadną miłość. Mowy nie ma.

Machnął ręką i westchnął.

- Nie mówmy już o tym, stary, to są rzeczy skomplikowane.

Wrócili do tematu Merri.

- Powiedz mi lepiej coś więcej o panie Davis. Chciałbym się upewnić, że jest to rzeczywiście profesjonalistka, a nie jakaś kolejna łowczyni posagów, która zahaczyła o Stanville.

- Tyson, wystarczy na nią spojrzeć - Frank zabębnił palcami w blat. - Zero kokieterii, okulary, rzeczowość, a do tego te maniery i ogólne obycie... A propos obycia: tobie przydałoby się parę lekcji dobrych manier, Tyse. I ona mogłaby ci ich udzielić. Zyskałbyś wtedy lepszy image w interesach. Nie sądzisz, że gra jest warta świeczki?

Tyson skrzywił się, ale przełknął ten przytyk. Miał świadomość własnych wad. A wobec tego może by i warto skorzystać z usług panny Davis? No dobrze, ale to później. Najpierw trzeba się bliżej dowiedzieć, kim ona jest.

- Konkretnie: co wiesz o panie Davis?

- Co wiem? - poruszył brwiami Frank. - Powiem ci, co wiem. Rozmawiałem niedawno z moim starym przyjacielem, Jasonem Taylorem. Pamiętasz, że rodzina Taylora pochodzi z naszego miasteczka? On był moim najlepszym kolegą w szkole, a teraz jest wziętym adwokatem w Los Angeles.

- Tak, tak, chyba wiem, o kogo chodzi. Jego matka i Jewel były bliskimi przyjaciółkami jako dziewczyny, prawda? Ale co on ma wspólnego z...?

- Jason i ja stale się ze sobą kontaktujemy. Opowiadam

mu o różnych ciekawostkach z tutejszego podwórka. No i mówiłem mu też o twoich kłopotach ze znalezieniem odpowiedniej, to znaczy kompetentnej osoby do prowadzenia fundacji.

Tyson w milczeniu skinął głową.

Frank odczekał chwilę.

- A więc akurat teraz, jak cię nie było, Jason zadzwonił do mnie i powiedział, że właśnie miałby kogoś idealnego do twojej fundacji i że ta osoba chciałaby tu od razu przyjechać. Zgodziłem się w twoim imieniu, no i wiesz, co dalej. Przyjąłem ją tu na miejscu i zrobiła na mnie bardzo dobre wrażenie. A ty po powrocie z Nowego Orleanu zastałeś ją w biurze.

- No tak, no tak - Tyson przeczesał palcami włosy. - Nie mam ci za złe, żeś jej od razu przyrzekł tę pracę. Merri chyba rzeczywiście się do niej nadaje. A jednak wciąż chciałbym wiedzieć coś więcej o Merri Davis, o to mi chodzi.

- Jason powiedział mi, że od wielu lat zna jej rodziców. W Los Angeles są chyba sąsiadami albo coś w tym rodzaju. A samą Merri miał znać od jej dzieciństwa i dziś jest to poważna i trzeźwo myśląca kobieta, która posiada odpowiednie wykształcenie; skończyła w college'u kurs menedżerski. W dodatku ze specjalnością „organizacje non-profit”. A z temperamentu jest podobno istotą, która lubi pomagać ludziom poszkodowanym przez los.

- Czyli nie przybyła tu tylko dla forsy, tak twierdzisz? A może jednak... ? - Ty uzmysłowił sobie w tym momencie, że zauważył u Merri chyba zbyt elegancki kostium i buty, jak na skromną biuralistkę lub altruistkę... No tak,

zawsze jednak mogła to sobie kupić z drugiej ręki czy na wyprzedży,

- Dla forsy? - skrzywił się Frank. - Nie, nie sędzę. Kiedy zapytałem ją, jak wyobraża sobie swoje honorarium, powiedziała, że wystarczy jej tyle, ile trzeba na utrzymanie w Stanville. A Stanville nie jest drogim miejscem, jak wiemy.

Ty skrzyżował ramiona.

- W porządku, dobra. Wierzę. Tylko ja wciąż nie rozumiem, dlaczego młoda kobieta zechciała porzucić swoich przyjaciół i rodzinę w wielkim mieście i wybrać się tutaj, do nas, do tej małej dziury?

Frank wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Niezbadane bywają ścieżki... Może nie układało jej się z przyjaciółmi? Może znudziła jej się rodzina?... A nasze Stanville ma swoje zalety. Gdyby ich nie miało, czy ty i ja wytrzymywalibyśmy tutaj? Sam powiedz.

Racja, pomyślał Tyson. Niemniej chciałby przeniknąć motywacje panny Davis... Jak również swoje własne motywacje, w dotychczasowych kontaktach z nią. Bo czuł, że jej poprzedniczki traktował inaczej. Od pierwszej chwili przeskakuje między nimi jakaś iskra. I nie wiadomo, czy to dobrze... Takie rzeczy raczej nie pomagają w pracy. A Merri przybyła tu przecież do pracy. I on chce, żeby ona tu wydajnie pracowała.

- Zawsze lubiłam twoją stryjecną babkę Lucyllę. - Je-
wel spojrzała na Tysona, kończąc ścierać blat w kuchni. -
A zwłaszcza od momentu, gdy wyłożyła pieniądze na twoją naukę w college'u. I chociaż to nie moja krewna, żal mi, że

już odeszła... No a jak tam pogrzeb: dużo rodziny się zjechało?

Tyson podszedł do lodówki, otworzył ją i zaczął się rozglądać po jej wnętrzu. Uzmysłował sobie, że robi to wciąż tak samo jak wtedy, gdy był pięcioletnim chłopcem.

- Zjechało się mnóstwo - powiedział. - Nie sądziłem, że mam aż tylu krewnych ze strony ojca. - Spojrzał na ciotkę. - Ale ze strony mamy mam tylko ciebie, prawda?

Jewel wzruszyła ramionami i nic nie odrzekła.

Tyson przykucnął.

- Swoją drogą blisko Lucylli znalazły się też bardzo dziwne osoby. Na przykład ta Cyganka, co dała mi lusterko, podobno magiczne...

- Co magiczne...? - ciotka zmarszczyła czoło, zbliżając się do lodówki. Schyliła się, wyjęła karton mleka i podała go siostrzeńcowi. - Tego szukałeś?

- Tak - wyprostował się. - Dzięki. - Zaczął otwierać pudełko. - Dostałem od niej magiczne lusterko - uśmiechnął się do Jewel. - Wygląda na dość stare, a przy tym ma na ramce wypisane moje nazwisko. I żeby było jeszcze dziwniej, w ogóle nie jest lustrem, a tylko kawałkiem oprawionego szkła.

- Hola, chłopcze - Jewel wyjęła Tysonowi karton z ręki. (Nie wiadomo, czy dotarli do niej rewelacje o Cygance.) - Możesz sobie pić z tektury u siebie w domu, ale u mnie zawsze dostaniesz naczynie. Kiedy ty się nauczysz dobrych manier!

Tyson skrzywił się, napełniając mlekiem szklanę.

- Zrządzisz zupełnie jak ten mój Frank. On też ciągle chce

mnie ulepszyć. A ja pytam: po co mam być lepszy, kiedy i tak wystarczająco dobrze mi się powodzi...?

- Masz na myśli swoje pieniądze? - Jewel spojrzała ironicznie. - Pieniądze to nie wszystko, chyba o tym wiesz.

Tyson napił się mleka i wzruszył ramionami.

Postanowił zmienić temat.

- A wiesz, ciociu, poznałem dziś rano Merri Davis... Twoją lokatorkę. Wyobraź sobie, że zaczęła pracę u mnie, w fundacji.

- O, to ciekawy zbieg okoliczności. No i jaka ona jest, jak ty ją widzisz? - spytała Jewel. - Mnie się wydała po prostu słodka. Przemiała osoba.

- Słodka? - zdziwił się Tyse. Ta poważna dziewczyna, z końskim ogonem, w biurowym kostiumie, miałaby być słodka?

Jewel wydała z siebie rodzaj cmoknięcia.

- Merri Davis może nie jest okazem piękności, ale ma inne zalety, które powinieneś docenić. Słowo daję Tyson, ty masz skłonność do sądzenia ludzi po pozorach... I dlatego pomyliłeś się też kiedyś co do tej twojej Diane z college'u. Myślałam, że tamten błąd czegoś cię nauczył.

Steele jęknął, odstawiając szklanekę i ocierając sobie usta dłonią. Na co ciotka znowu cmoknęła, tym razem z dezaprobatą, wręczając siostrzeńcowi papierowy ręcznik.

Tyson użył go posłusznie.

- Myślałem - odezwał się - że byłaś zadowolona z tego, że się wtedy oświadczyłem Diane.

Dobry Boże, przez lata udawało mu się nie pamiętać o tamtej zdradzieckiej lalce, a teraz nagle powraca jej imię, i to już drugi raz jednego dnia.

- To nie tak - pokręciła głową ciotka. - Ja tylko cieszyłam się z tego, że ty się czujesz szczęśliwy. Bo wydawałeś się szczęśliwy. - Jewel podeszła do siostrzeńca i położyła mu rękę na ramieniu. - Wiem, żeś nigdy nie przeboleał straty rodziców, bo to są rzeczy nie do powetowania. Nawet jeśli pokrywasz to tymi swoimi zwycięskimi uśmieszkami.

Tyson zachnął się. Jewel przesadziła, teraz dotknęła czegoś, do czego absolutnie już nie chciał wracać.

- Nie wiem, ciociu, o czym mówisz. Mama i' tata zginęli w wypadku strasznie dawno temu. Nie można czuć bólu przez dwadzieścia pięć lat. W twoim domu czułem się jak u siebie, niczego mi nigdy nie brakowało. Jestem szczęśliwym człowiekiem.

- W porządku. Możemy o tym nie mówić, jeśli nie chcesz. - Puściła jego ramię i westchnęła. - Ale pragnęłabym, żebyś sobie w końcu znalazł kogoś do kochania. Kogoś innego niż Diane, kogoś prawdziwego.

Tyse zwinął miękki papier ręcznika w kulkę, którą cisnął do kosza.

- Prawdziwego... - uśmiechnął się. - To chyba zdam się na twoją opinię, co? Odtąd każdą kandydatkę będę pokazywał tobie, nim się nią zajmę na serio, dobra? - Ujął Jewel w pasie. - Ale i tak chyba pozostanie mi się kochać tylko w tobie, bo na inne amory nie mam czasu. Mam za dużo roboty, nieraz nawet zjeść nie ma kiedy.

- Zjeść? - Jewel odstąpiła o krok. - Hej, synku, czy to jakaś aluzja? Może jesteś głodny? Bo jeśli tak...

Poruszył brwiami.

- Czy ja wiem. Może bym i co zjadł, ale właściwie, to umówiłem się już na lunch. I to właśnie z Merri.

- Umówiłeś się...? - Jewel bacznie przyjrzała się siostrzeńcowi. - Na lunch? Tylko że jak na lunch, pora jest już dosyć późna. - Zerknęła na ścienny zegar. - Minęła druga... Prze-głodziłeś mi moją lokatorkę, to nieładnie. To taka dobra lokatorka, zapłaciła od razu za dwa miesiące z góry.

Tyse zaśmiał się, widząc poważną minę Jewel.

- Coś mi się jeszcze przypomniało, ciociu - powiedział. - Trzeba by dokończyć remont twojego domu. Pomogę ci w tym.

- Ojej, naprawdę? - klasnęła w ręce Jewel. - Tuś mnie naprawdę zaskoczył... Jakie dobre serce... To w takim razie i ja coś zrobię dla ciebie, teraz, zaraz... Siadaj na chwilę. Po co macie z Merri latać do jakiegoś baru. Ja wam tutaj zrobię pyszne kanapki, dam też słoik świeżej sałatki jarzynowej. Weźmiesz? Weźmiesz, weźmiesz, nie odmówisz starej ciotce Jewel.

Merri polizała ostatnią z kopert i zakleiła ją. Odchyliła się w fotelu Tysona i oceniła wzrokiem wykonaną dziś pracę.

Całkiem niezły urobek, pomyślała.

Przydały się lekcje pisania listów, które mimochodem odbyła kiedyś u sekretarki swej matki. Zresztą matka zbesztiała wtedy dziewczynę, że zawraca jej córce głowę czymś tak przyziemnym, jak stylizowanie korespondencji. Merrill Davis-Ross, spadkobierczyni fortuny, stworzona jest do lepszych rzeczy niż urzędowa epistolografia, której tajników nie musi zgłębiać.

Ciężko jest lekko żyć, westchnęła Merri, splatając ręce z tyłu głowy. Rodzice rozpieszczali ją przy każdej okazji. Kiedy podjęła studia, zresztą nieukończone, zabronili jej zamieszkać w jakimś tam akademiku. Wynajęli jej apartament w pobliżu kampusu, strzeżony przez ochroniarzy. Rodzice obawiali się niby, że ich córkę mógłby ktoś porwać dla okupu... Skutek był taki, że nie zżyła się ze środowiskiem uczelni i w końcu, dość prędko, choć nie tylko z tego powodu, rzuciła uniwersytet.

Postanowiła się wtedy życiowo uniezależnić. Nie chciała już brać pieniędzy od rodziców. Została modelką i początkowo bawiło ją to, że jest podziwiana, nosi piękne stroje, nie musi słuchać ojca ani matki, że trafiła do kolorowych pismek i tak dalej. Jednak na dłuższą metę ten wir i blichtr był czymś bez sensu, a tropiący ją paparazzi stali się wprost nie do zniesienia. Zrozumiała, że prędzej czy później musi z tym wszystkim skończyć.

I skończyła! Ale to oznaczało spore uszkromnienie jej egzystencji, przede wszystkim finansowe. Musiała prędko nauczyć się przeróżnych „przyziemnych rzeczy”, jeśli nadal zamierzała być niezależna od bogatego domu. Na szczęście znalazła sobie tę sensowną pracę w Stanville... Daleko od domu, daleko od paparazzich, daleko od dawnego, przeciętnego już na szczęście, życia.

Rozejrzała się po gabinecie Tysona. Zsunęła z pięt cisnące trochę półbuty i rozsiadła się w fotelu z nogami podwiniętymi pod siebie. Na fotelu szefa było wygodniej, niż na jej własnym krzesełku, do którego będzie chyba musiała sobie dokupić jakąś poduszkę. Pomyślała też o elektrycznym czaj-

niku, którego nigdzie tu nie zauważyła. Bo jak żyć w biurze bez herbaty? Merri bardzo, ale to bardzo lubiła herbatę.

Z zamyślenia wyrwało ją poruszenie klamki. W następnej chwili do gabinetu wszedł Tyse, z jakąś torbą pod pachą. Poderwała się z jego miejsca, na co on wykonał uspokajający gest.

- Siedź, siedź Merri... No i jak ci przeszedł dzień?

- Przepraszam, że podsiadłam panu miejsce. - Usiłowała wymacać stopami buty, które gdzieś się zapodziały. - Załatwiłam już całą korespondencję.

- Jakiemu znowu „panu” - pokręcił głową. - Zapomniałaś? Jesteśmy po imieniu. Miałas mi mówić Tyson, a jeszcze lepiej Tyse... I weź ode mnie tę torbę z jedzeniem.

- Z jedzeniem?

- To są kanapki od Jewel. Sama je zrobiła. Będziemy mieli lunch.

Cholerne buty. Gdzież mogły się zapodziać?

- Jewel zrobiła? To miło z jej strony. Ale ja zwykle nie jadam lunchu.

Kiedy się jest modelką, człowiek dba o linię. Merri zdążyła odwyknąć od południowego posiłku, tak że w istocie nie czuła w tej chwili głodu.

- Nie chcesz lunchu? Nie wiem, czy to dobrze. Do pracy trzeba mieć siły. Ładna jesteś, ale wydaje mi się, że jakby odrobinę szczupła...?

- Ja ładna? Co pan... To znaczy co ty opowiadasz.

Tyson uśmiechnął się.

- Nie udawaj, Merri. Chyba patrzysz czasem w lustro?

Zerknęła na niego. Do twarzy mu było z tym uśmiechem.

Ale dlaczego on jest dla niej taki łaskawy? Czy to może początek jakiegoś flirtu... ?

Nie, nie powinno być między nimi żadnego flirtu. Po pierwsze dlatego, że romanse z szefem nigdy nie kończą się dobrze. Po drugie dlatego, że tym szefem jest właśnie Tyson Steele, milioner. Człowiek dosyć często fotografowany dla prasy. No a gdyby ktoś i ją sfotografował z Tysonem...? Wyśledziliby to prędko jej dawni paparazzi i skończyłoby się szczęśliwe incognito oraz cichy azyl w Stanville.

Tak więc nie. Nie może być między nimi żadnego flirtu.

Przykucnęła i zaczęła szukać swoich butów pod biurkiem.

- Co ty robisz, Merri? - zainteresował się Tyson. - Czego tam szukasz?

- Nic, nic - odrzekła zduszonym głosem spod blatu. - Ja tylko... - Znalazła buty i obróciła się pod biurkiem, żeby wyjść i wstać.

Jednak okazało się, że wyjście ma zablokowane, bo Tyson też przykucnął i oto nagle znaleźli się nos w nos.

- Och... - spróbowała się uśmiechnąć. - Chodziło o moje buty - pokazała głową.

- Zgubiłaś pantofle pod moim biurkiem? Czy zawsze rozbierasz się do pracy? - Z roztargnieniem wyciągnął rękę i założył jej opadający kosmyk włosów za ucho. W tej samej chwili połapał się, co robi, i cofnął dłoń, jak oparzony.

- Przepraszam.

O matko! Jego dotknięcie spowodowało, że przebiegł ją dreszcz.

No nie. To się nie powinno było zdarzyć.

- Chciałabym już wstać. Pozwolisz?

- Oczywiście. Przepraszam. - Cofnął się, podniósł i podał jej dłoń, aby pomóc. - Wytarłaś się o jakieś kurze pod tym biurkiem - zauważył. - Chyba będę musiał ochrzanić moje sprzątaczkę, że zostawiają takie brudy.

Obejrzała swój żakiet i spodnie.

- E, nic się nie stało - oczyściła kolano. - Nie rób krzywdy tym sprzątaczkom. - Schyliła się, by włożyć pantofle.

I wtedy poczuła, że jego ręka strzepuje coś na jej udzie. Znowu przebiegł ją dreszcz.

Wyprostowała się gwałtownie. To spowodowało, że oboje omal nie upadli, bo nie wiadomo czemu trafiła głową w podbródek Tysona.

Tyson złapał ją w pól, zatoczył się razem z nią do tyłu i opadł na fotel, który na szczęście był w pobliżu.

- Ups! Przepraszam - spróbowała podnieść się z jego kolan.

Przytrzymał ją.

- To moja wina - powiedział. - Jestem niezgrabny.

- Ty niezgrabny? - poprawiła okulary. - To chyba ja...

Wzruszył ramionami.

- W każdym razie chcieliśmy dobrze. Ale może nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło.

Zmarszczyła nos.

- Coś chyba poplątałaś? Mówi się odwrotnie, nie ma tego złego, co by...

- Tak myślisz? - przerwał jej.

- Jasne - skinęła głową. - Tak myślę i wierzę w to. Jestem optymistką.

Puścił ją, a ona wstała i zaczęła wygładzać na sobie żakiet.

Przytrzymałby ją chętnie dłużej, ale uzmysłowił sobie, że jeszcze chwila, a mógłby zostać oskarżony o molestowanie swej podwładnej w miejscu pracy.

Optymistka! W ogóle dziwna ta Merri... W ciągu paru chwil przeistoczyła się z szarej biuralistki w podniecającą nimfę. W każdym razie Tyson tak to zobaczył. Jego ciało jeszcze pulsowało, podniecone ich wzajemną bliskością.

Poprawił się w fotelu.

- No a jak tam pantofle, włożone?

Nie spojrzała na niego, kiwnęła tylko głową. Rzeczywiście zdołała już do końca uporać się ze swymi butami.

Tyson oparł łokcie na poręczach i złączył czubki palców. I znów pomyślał, że bardzo chciałby wiedzieć, jak też wygląda Merri pod tym swoim czarnym uniformem. Przed chwilą miał w ramionach to jej kształtne ciało...

Nie, wcale nie chciałby wiedzieć: on chce wiedzieć, bez trybu warunkowego, i zamierza wiedzieć. A to jest chyba różnica?

I już był pewien, że postara się ją przytrzymać u siebie na posadzie przynajmniej dopóty, dopóki nie zaspokoi tej rozjątrzonej nagle ciekawości.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dojadali kanapki oraz jarzynową sałatkę Jewel, wyłożoną na tekturowe talerzyki.

-I jak, smakuje? - Tyson otarł sobie usta serwetką.

- Pyszne. Ale sama nie wiem, jak to wszystko w sobie zmieściłam.

Tyson założył nogę na nogę. Odczekał chwilę.

- No dobrze.... A jak tam nasza korespondencja? Rzeczywiście uporałaś się z całą? Jednego dnia?

- Z całą - wskazała stosik poadresowanych kopert, gotowych do wysyłki. - Są też kopie listów, na wypadek, gdybyś chciał sprawdzić ich treść. Tu, w tej teczce - podsunęła skoroszyt.

Tyson ujął teczkę.

- No, no - pokiwał głową z podziwem. I pomyślał, że ta dziewczyna jest naprawdę niebywała. W jeden dzień obsprawiła się z tym, z czym jej poprzedniczki mocowałyby się pewnie cały miesiąc.

Merri pozbierała talerzyki, zmiotła serwetką okruszki z blatu i wrzuciła to wszystko do torby, z którą przyszedł jej szef.

- Masz sympatycznych donatorów - powiedziała. - Właściwie na twoim miejscu urządziłabym jakieś przyjęcie dla nich. Same listy dziękczynne to za mało.

- Przyjęcie... ? Niezła myśl. - Dlaczego się do mnie nie uśmiechniesz? - przymrużył oczy Tyson. - To już prawie pięć lat, jak działa nasza fundacja. Rzeczywiście warto by uczcić naszych dobroczyńców.

- Pięć lat? Więc nawet jest okrągła okazja.

- Właśnie. Tylko nie wiem, czy wolno nam wyrzucać pieniądze na jakieś przyjęcia? Może każdy grosz należy oddawać jednak sierotom.

- Jeśli chcesz, żeby sieroty miały pieniądze, zainwestuj pieniądze w tych, którzy pomagają ci działać.

Tyson przeczesał palcami włosy.

- Myślisz ekonomicznie - uśmiechnął się. - Ale nie wiem, czy to, co słuszne w biznesie, sprawdza się też w organizacjach non-profit?

Nie zdążył usłyszeć odpowiedzi, bo nagle zapukano do drzwi i na progu stanęła Jewel. Ubrana była trochę dziwnie, miała na sobie turkusową suknię z dzianiny, a do tego sportową bluzę z nadrukami i kaszmirową chustkę na głowie. Na jej twarzy malowała się rozterka.

- Ciocia tutaj? - Tyson wstał, podszedł do Jewel i ucałował ją w policzek. - Chyba nie fatygowałaś się po swój słoik od sałatki?

Jewel wzruszyła ramionami.

- Nie bądź niemądry. Gwizdź na ten słoik... No ale jak kanapki? Smakowały wam?

- Pyszne były - Merri też podniosła się z miejsca. - Bardzo dziękuję, pani Adams. Zjadłam całą swoją porcję, choć niby nie byłam głodna.

- Niegłodna? - zainteresowała się Jewel. - Aha, może dla-

tego, że to tak późno, że przeszła twoja pora... A wszystko przez Tysona! - szturchnęła lekko siostrzeńca w bok - Powinnaś się regularnie odżywiać - spojrzała na Merri. - Wyglądasz mi trochę krucho....

Tyson podsunął Jewel krzesło.

- Jeśli nie słońce po sałatce, to co cię tu sprowadza, ciociu? Wyjaw wreszcie.

- A, jakoś tak... - Jewel usiadła. - Bo jestem w drodze do tego mojego Klubu Działkowca. Mamy dziś posiedzenie Pogotowia Zarządu.

- Pogotowie?... Na działkach? - zdziwiła się Merri.

Ty zachichotał.

- Ten Klub zajmuje się wieloma rzeczami, nie tylko ogródkami. A ich Pogotowie organizuje na przykład pomoc dla Domu Dziecka Nuevo Dias. Ten dom był w Stanville jedynym azylem dla sierot, zanim powstała moja fundacja.

- No a teraz mamy problem - poruszyła się ciotka. - Oczywiście finansowy... Co roku organizujemy dwie duże akcje charytatywne - spojrzała na Merri. - Ta w lutym nazywa się „Na przednówku”, a ta listopadowa - „Wielki finał”. „Finał” jest łatwiejszy do zrobienia. Urządzamy wtedy jarmark, z atrakcjami dla dzieci, ze straganami i tak dalej. Ludzie myślą już o Bożym Narodzeniu i bywają szcudrzy. Sprzedajemy na przykład zabawki na choinkę, które sami robimy.

Merri skinęła głową na znak, że uważnie słucha.

- Trudniej jest na wiosnę - podjęła Jewel. - Tu czasem brakuje nam pomysłów albo zdarzają się nietrafione. W zeszłym roku ulewa zatopiła nam wielki kiermasz naleśników i wyprzedaż sadzonek.

- A ostrzegałem cię wtedy - wtrącił się Tyson. - Po prostu obejrzałem prognozę w telewizji i wiedziałem, że będzie deszcz.

- Kiermasz naleśników? - uniosła brwi Merri.

- A dlaczego nie? - ciotka poprawiła się w krześle. - Nasze panie smażą świetne naleśniki, po prostu przebojowe, z jarzynami, owocami, z mięsem i serem... No, ale tego roku pomyśleliśmy o jakiejś imprezie zdecydowanie pod dachem. Miała więc być loteria fantowa... Tylko, że główna organizatorka wypadła nam właśnie z gry, z przyczyn rodzinnych. Jej córka jest w zagrożonej ciąży, a jest jeszcze dwoje innych dzieci, którymi musi się ktoś zająć. Więc sami rozumiecie.

- To prawdziwy pech - powiedział Tyson.

- Właśnie, pech - Jewel zaczęła rozpinąć suwak swej bluzy.

- No i widzicie, mamy w Klubie duży kłopot.

Pani Adams wyglądała na tak zmartwioną, że Merri wypaliła bez namysłu:

- To może wymyślimy coś innego? Ja bym proponowała przyjęcie dla matek z córkami... połączone z pokazem mody. Albo coś w tym rodzaju.

Co u licha podkusiło ją, żeby się wrywała, zwłaszcza z tym pokazem mody? Zrobiłaby mądrzej, gdyby siedziała cicho.

- Przyjęcie z pokazem? - zastanowiła się Jewel. - Przyjęcie to prosta rzecz, ale moda... Z tym byłoby trudniej. Nikt z nas się na takich sprawach nie zna.

- Ja raczej też nie... - zaczęła mówić Merri, jednak ciotka nie pozwoliła jej dokończyć zdania.

- Zaraz, zaraz, ale ty przecież jesteś z wielkiego miasta? Na

pewno bywałaś na podobnych imprezach, skoro już o tym mówisz? I coś tam podpatrzyłaś?

- Właśnie, podpatrzyłaś coś? - Tyson zmrużył po swojemu oczy.

- Ja? No nie wiem... - zawahała się Merri, nie chcąc im obojgu kłamać w oczy, ale pragnąc się też wykręcić od tematu, który nie był dla niej bezpieczny.

Niestety, nie zdołała się wykręcić. Bo Tyson powiedział do Jewel:

- Wiesz ciociu, jestem pewien, że Merri dałaby sobie radę. Świetna z niej organizatorka. Sprawdziła się już w moim biurze, od samego początku. Pokaż też ci urządzi.

- Liczyłam na coś takiego! - klasnęła w ręce ciotka. - Sto-krotne dzięki!

Tyson podszedł do Merri.

- ...I nie bój się, że się przepracujesz, czy coś w tym rodzaju. Będę cię zwalniał z fundacji już po lunchu, do zajęć przy tej imprezie. Tylko zgódź się... Widzisz, jak cioci na tym zależy.

Merri z zakłopotaniem zaczęła sobie poprawiać kucyk.

- Ale ja tu na miejscu nikogo jeszcze nie znam... - zaczęła.
- Jak na przykład wybiorę jakieś modelki? Do kogo się zwrócę?

Tyse wzruszył ramionami.

- Szybko poznasz te nasze panie. Jewel ci pomoże. A ty sama zajmiesz się na razie tylko koncepcją pokazu, bo przecież trzeba się porozumieć z jakąś firmą odzieżową, zorganizować muzykę, dekoracje i tak dalej.

Merri zdjęła okulary i przetarła je. Czuła, że nie ma dla niej odwrotu. Ależ się wkopała!

- No dobrze - westchnęła - powiedzmy, że się tym zajmę.
- Ale jaki będzie efekt? Za to nie ręczę.

Poniosła herbatę do swego małego living-roomu. Postawiła ją na staroświeckim stoliku, który kupiła wczoraj w tym miłym sklepiku przy Main Street, rozsiadła się na fotelu obitym tkaniną w kwiaty i westchnęła z zadowoleniem.

Upiła łyk herbaty i pomyślała, że jej matka byłaby pewnie zażenowana, widząc ją w tym nowym otoczeniu. Że takie skromne i nienowoczesne... Bo sama Arlene Davis-Ross była osobą na wskroś nowoczesną. Wyrażało się to między innymi w tym, że wciąż poddawała się operacjom plastycznym, aby wyglądać coraz młodziej. W istocie wydawała się raczej siostrą swojej córki niż jej matką.

Szkoda, że mama nie chce być moją matką, westchnęła Merri. I przypomniała sobie, jak to bywało, gdy wracała ze swej szkoły z internatem do domu na święta czy na wakacje. Wyraźnie wtedy zawadzała matce. Nie czuła się nigdy w domu jak u siebie; w ogóle nie wiedziała, gdzie jest jej miejsce. Wierzyła jednak, że kiedyś znajdzie w świecie to swoje miejsce.

Albo może ono odnajdzie ją?

Kto wie - odstawiła herbatę - czy właśnie to malutkie Stanville teraz jej nie znalazło? Tu jakoś od razu poczuła się bezpiecznie. Ludzie dookoła wydawali się tacy zyczliwi... Zajmowali się nie tylko robieniem pieniędzy, ale też bezinteresowną pomocą bliźnim. No i nareszcie poczuła się tu również wolna od wścibstwa tych wszystkich fotoreporterów z kolorowych pisemek. Nikt jej nie błyskał fleszem w twarz

w najmniej odpowiednich momentach. W ogóle nikt nie wdzierał się w jej prywatność.

Znów sięgnęła po filizankę. Tak, to była słuszna decyzja, przyjechać tu i zacząć nowe życie. Mądrze było nie wracać ani do rodziców, ani do zabawy w gwiazdę wybiegu dla modelek. Teraz dopiero czuła, że robi coś sensownego. Pracować w fundacji na rzecz sierot: to było coś, z czym zgadzało się jej sumienie, a co tak niespodziewanie odkryła dla siebie.

Dzisiejszego wieczoru odwiedziła Klub Działkowca i potwierdziła w Zarządzie, że pomoże w zorganizowaniu tego przyjęcia dla matek z córkami oraz pokazu mody. Jedną z klubowiczek, Tally Washburn, zadeklarowała od razu, że wszystko, co się tyczy przyjęcia, ona bierze na siebie. Jeńwel zaś przyrzekła, że zmobilizuje mieszkanki Stanville, aby wstępnie wyłoniły kandydatki do pokazu.

Czyli że wszystko jest na dobrej drodze, pomyślała Merri. I właściwie jedynym problemem jest w tej chwili to, co łączy ją z jej nowym szefem. A łączy zbyt blisko, jak na to, czego oczekiwała po swej pracy...

Przybyła bowiem do miasteczka z postanowieniem, że będzie tutaj żyła całkiem sama. Chciała porządnie odpocząć od tego wiru, w którym się dotąd obracała, od świateł rampy i od mikrofonów. Od całego blichtru i wszystkich pozorów świata.

Tymczasem Tyson zbliżył się jakoś do niej i zaczął ją absorbować. Została nawet jakby obarczona misją „ucywilizowania” go! Nie mogła się względem tej całej sytuacji zdystansować.

Blichtr i pozory... Wiedziała, co to są pozory. Na przykład jej stosunki z mężczyznami polegały dotąd głównie na

pozorach. Odczuł to na własnej skórze biedny Brad, który nieraz figurował razem z nią na okładkach tabloidów, a nic z tego nie miał - prócz pozorów.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Odstawiła filiżankę i nasłuchiwała chwilę. Któż to może dzwonić? Może któraś z pań, z którymi widziała się dzisiaj w klubie? (Swoją telefon komórkowy zostawiła w Los Angeles, z rozmysłem, wiedziała bowiem, jak łatwo zlokalizować kogoś, kto używa tego urządzenia. A ona nie chciała dać się zlokalizować swym dawnym znajomym).

Przebiegło jej przez głowę, że powinna sobie jutro kupić aparat z automatyczną sekretarką, aby i tutaj, w Stanville, nie być tak łatwo osiągalna. Potrzebowała jakiejś zapory.

Sięgnęła po słuchawkę.

- Merri Davis.

- Udało ci się zjeść jakiś obiad, czy klubowiczki trzymały cię aż do nocy?

Od razu poznała głos Tysona. Męski, niski głos, który mógł przyprawić o dreszczyk.

Zebrała się w sobie.

- Nigdy się nie witasz ani nie przedstawiasz, kiedy zaczynamy rozmowę? Jesteś moim szefem, ale nie mamusią, której wszystko wolno.

O do licha, chyba przesadziłam, pomyślała. To przecież jest mój szef, a ja go tak obrugałam.

Po tamtej stronie przez chwilę było cicho.

- Przepraszam, panno Davis. Dobry wieczór. Dbaj pani o moją kindersztubę, jak widzę... Ale ja zadzwoniłem ze szczerą troski, naprawdę.

-Wierzę, panie Steele. I dlatego także przepraszam. A co do obiadu, to coś tam sobie zrobiłam po powrocie do domu.

Tyson znów przez chwilę milczał.

- Nie moglibyśmy wrócić do mówienia sobie po imieniu? Merri i Tyse bardziej mi się podobają.

- Zgoda, wróćmy - uśmiechnęła się do słuchawki.

-To świetnie... Przepraszam, że tak się wtrącam w twoje życie, ale obiecałem ciotce, że będę ci przypominał o posiłkach.

Zaśmiała się.

- Przypominał o posiłkach? No nie, to chyba lekka przesada. Ja jestem już całkiem dorosła, Tyse... Ale może ty dzwoniisz w jakiejś innej sprawie?

Tyson odchrząknął.

- Właściwie tak, zgadłaś. Bo widzisz, jutro od rana będę w pewnej korporacji paliwowej, gdzie też mam interesy. Czyli nie będzie mnie w biurze, i chciałem ci o tym powiedzieć. Mam nadzieję, że dasz sobie radę?

- O nic się nie martw, dam sobie radę. Mogłabym się zająć projektem tego przyjęcia dla donatorów, pamiętasz. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Jestem za. Tylko nie wiem, czy to nie za duże obciążenie dla ciebie, organizacja naraz dwóch przyjęć, tego dla donatorów i w Klubie Działkowca?

- Nie za duże - odrzekła z przekonaniem. - Jeśli jest coś, co naprawdę umiem robić, to tym czymś jest organizacja przyjęć.

- Naprawdę? Skąd się znasz na takich rzeczach?

O do licha, powiedziała chyba znów coś za wiele.

- Skąd? No... wiesz, moja rodzina miała interes hotelarski. - Mówiąc to, nie mijała się właściwie z prawdą. Rodzina ze strony ojca rzeczywiście miała sieć hoteli i restauracji. Ale urządzenie przyjęć było czymś, co Merri niejako wyssała z mlekiem matki - ponieważ to właśnie matka organizowała całe życie imprezy.

- Okej. Co byś wobec tego powiedziała na termin kwietniowy? - zapytał Tyson. - Myślę o naszych donatorach, o tym przyjęciu dla nich? Moglibyśmy ich wszystkich sprowadzić na moje rancho, na piknik w ogrodzie. Będzie już pełna wiosna, pogoda na pewno dopisze.

- W porządku, szefie - uśmiechnęła się do słuchawki. - Jak kwiecień, to kwiecień. Da się zorganizować... Czy coś jeszcze? - zapytała.

Tyson znów odchrząknął.

- Czy coś jeszcze... Może i tak. Jutro, jak wrócę z korporacji, zawiózłbym cię na rancho Nuevo Dias, wiesz, to z domem dziecka. Co byś na to powiedziała?

- Nuevo Dias? To chyba znaczy „Nowy Dzień”? Czemu nie, bardzo chętnie to obejrzę.

- To świetnie. A skoro już jesteś ogólnie na „tak”, to nie dałabyś się też zaprosić potem na obiad? Wiesz, co przyrzekłem Jewel: że zadbam o twoje regularne posiłki.

Usłyszała, że zaśmiał się cicho po tych słowach.

Zagryła dolną wargę.

- Ale to nie będzie żadna randka, prawda? Bo myślę, że nie jest dobrze, kiedy szef i personel umawiają się prywatnie.

- Oczywiście, że nie będzie to randka, mój Personelu - znów się zaśmiał. - Wszystko odbędzie się w ramach zwykłej troski szefa o pracownika.

„Troska szefa”.

- Jesteś tego pewien, Tyse? Nie wiem, czy ty tam czegoś nie knujesz. W każdym razie...

- Ja nigdy nic nie knuję - głos Tysona zabrzmiał nagle serio. - Lubię działać uczciwie, bez gierki.

- No dobrze - westchnęła. - Pojadę z tobą jutro na ten obiad i obejrzymy też dom dziecka. Ale nie myśl, że daje ci to prawo do jakiejś dodatkowej opieki nade mną. Sama potrafię o siebie zadbać.

- Tak jest, proszę pani - odrzekł swym niskim, wibrującym głosem. - A teraz już dobranoc, Merri. Cieszę się na nasze jutrzejsze spotkanie.

Gdy się rozłączył, siedziała jeszcze długo, nie odkładając słuchawki. Bo właściwie, coź najlepszego zrobiła? Nie powinna była dopuszczać Tysona tak blisko siebie. Co będzie na przykład, gdy ktoś ich sfotografuje razem w miejscu publicznym? Na tym jakimś obiedzie? Merri wciąż miała uraz na tle kamer i obiektywów.

Ale poza tym, cóż... Tyse wydaje się taki kuszący. I ona nie jest mu obojętna, z drugiej strony. Czuła to. Choć nie stroiła się dla niego, nie malowała, nie kokietowała go, jednak mu się podobała... Mimo tych okropnych okularów!

Wszystko, co mogła teraz zrobić, to modlić się, żeby jej pięknego, nowego życia nie zniszczyła nagle zbyt bliska bliskość z kimś, kto był... No właśnie: kim był w istocie Tyson Steele? Pomyślała, że wie o nim wciąż bardzo mało. Prawie tyle, co nic.

Szkoda, że wiedziała o nim tak mało.

Popatrywał ku gromadce chichoczących dziewczynek, wśród których Merri siedziała po turecku na podłodze. Opowiadała im coś i pokazywała rękami, a one jak zaczarowane wodziły za nią wzrokiem.

Przed chwilą Tyson skończył rozgrywać mecz z chłopakami z rancza Nuevo Dias i teraz stał na progu sali, skrzyżowawszy ramiona i nie mogąc się nadziwić, dlaczego tak mu się podoba scenka, którą ma przed sobą.

Merri siedziała tyłem do niego. Obserwował jej plecy, gesty, nasłuchiwał barwy głosu. Skierował spojrzenie na jej odsłonięty kark. Ciekawe, co by zrobiła, gdyby nagle podszedł i pocałował ją w szyję?

Uśmiechnął się. Pewnie by go skarciła. Albo może zachichotała, opędzając się? Może przeleciałby ją dreszczyk i byłoby jej przyjemnie?

Tymczasem Merri wychyliła się do przodu, mierzwiąc włosy na głowie jednej z dziewczynek. Koszula napięła jej się na plecach, ujawniając, że nie ma pod nią stanika. W każdym razie nie było żadnego poziomego paska ani zapięcia z tyłu.

Jak przyjemnie, pomyślał Tyson. Czyli wystarczyłoby wsunąć ręce pod tę koszulę i... No nie, sam się upomniał. Tak nie wolno. Wpierw powinien ją jednak bliżej poznać. Najpierw powinni ze sobą dużo porozmawiać, a potem ewentualnie wolno będzie poeksperymentować ze sprawami ciała.

Ruszył powoli naprzód, zbliżając się do rozbawionego kręgu, zajmującego środek podłogi. Z bliska zauważył, że Merri opowiada jakiejś dwunastolatce chyba o sztuce malowania ust. W każdym razie wykonuje odpowiednie gesty. Ale jakie ona

może mieć pojęcie o malowaniu ust? Sama przecież nigdy nie używa szminki.

- A więc najpierw dobrze jest użyć ciemniejszej kredki - dobiegł go głos Merri - do podkreślenia zarysu... Może następnym razem przywiozę cały zestaw i przećwiczymy to w praktyce.

- Odwiedzi nas pani jeszcze? - zapytała mała blondyneczka. - Na pewno?

- Oczywiście - Merri spojrzała miękko, a jej ręka pogładziła kark dziewczynki. - Mieszkam od pewnego czasu w Stanville, tuż obok. Będę do was wpadała, kiedy się tylko da. Przyrzekam.

Tyson odchrząknął, aby zaznaczyć swą obecność. Sześć par oczu, w odcieniu od brązowych do błękitnych, spojrzało w jego stronę. Lecz jego uwagę przykuły głównie oczy szmaragdowe, patrzące zza oprawek szkieł. Oczy te były powilgotniałe ze wzruszenia.

- Przyszedłem, żeby przypomnieć o obiedzie - powiedział. - Już pora.

- Tak szyyybko? - zajęczała jakaś mała czarnulka. - Musimy już iść?

Merri pociągnęła nosem i zaśmiała się, obejmując dziecko.

- Trzeba jeść, jeśli chce się urosnąć na dużą i zdrową pannę. - Spojrzała na Tyse'a i mówiła dalej, wciąż się uśmiechając. - Wszyscy musimy jeść, żeby mieć siły do pracy.

Wyciągnął rękę, pomagając Merri wstać.

- Lubię, kiedy się tak uśmiechasz - powiedział. - Rób to jak najczęściej... No, a teraz już naprawdę chodźmy.

- Gdzie chcesz mnie zabrać?

- Znam tu jedno przyjemne miejsce. Dają bardzo dużo jarzyn i sałatek. Z pewnością ci się spodoba.

- Nie słyszałam o czymś takim w Stanville. Gdzie to jest?

- Gdzie... ? - zawiesił głos. - Ano po prostu tutaj, na tym ranczu. W głównej jadalni.

Merri najpierw wyglądała na zaskoczoną, a potem rozjaśniła się.

- To świetnie! A więc możemy zostać z dziećmi! - Była tak rozradowana, jakby za chwilę miała dostać wielki prezent.

O Boże. Słodka z niej istota, pomyślał. Ciotka Jewel nie pomyliła się, nazywając ją właśnie słodką, od razu na początku.

- Chodź, Merri - powiedział. - I wy, aniołki, też - kiwnął na dziewczynki. - Wszyscy idziemy jeść.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Zmęczona jesteś? - spytał ją, gdy odjeżdżali z rancza Nuevo Dias, kierując się w stronę obwodnicy.

- Może troszkę... - odpowiedziała z westchnieniem. - Ale to dobre zmęczenie. Naprawdę dobre.

Chociaż nie było jeszcze późno, niebo już pociemniało. W powietrzu czuło się deszcz. Merri rozluźniła się w fotelu półciężarówki, którą wioził ją Tyson. Rozpamiętywała to, co przeżyła dzisiejszego popołudnia... Jak to o Steele'u powiedziała jedna z pracownic domu dziecka? Że co?

Objęła spojrzeniem Tyse'a.

- Słuchaj... Czy mogłabym cię o coś spytać?

- Jasne. Śmiało strzelaj.

- Ktoś mi dziś powiedział, że zajmujesz się poszkodowanymi i porzuconymi dziećmi dlatego, że sam byłeś poszkodowany jako dziecko. Czy to prawda?

Tyson przeczesał palcami swe ciemnokasztanowe włosy. Nie odwrócił głowy, nadal patrzył prosto przed siebie, na szosę.

- No nie, to nie tak. Nie można powiedzieć, że byłem „poszkodowany”. Kiedy moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, zaraz zaopiekowała się mną Jewel. I była dla

mnie bardzo dobra. Nigdy nie czułem się porzucony, czy uszkodzony.

To, co mówił, wydawało się sensowne, Merri zauważyła jednak, że w głosie Tysona jest coś niepewnego. Widać nie chcący trafiła w jakieś czułe miejsce.

Nie naciskała go dalej, pozwalając mu uporać się ze wspomnieniami.

On po chwili zerknął na nią.

- Teraz, przed kolacją... - zaczął i urwał. - Jak siedziałś z tymi dziewczynkami na podłodze. Wydało mi się w pewnej chwili, że masz łzy w oczach. Nie pomyliłem się?

Aha. Czyli teraz on szuka u niej jakiegoś słabego miejsca. Ale czy to taka słabość - mieć łzy w oczach?

Uznała, że nie będzie się wypierała.

- Masz rację, tak było. Może jestem... - Poprawiła swój pas bezpieczeństwa. - Ale te dziewczynki wydają mi się takie bezbronne... I samotne. Bardzo chciały, żebym została z nimi dłużej. - Spojrzała na Tyse'a. - Poczułam, że nikt nigdy nie potrzebował mnie tak bardzo, jak właśnie one w tamtej chwili.

- Nikt nigdy...?

W milczeniu skinęła głową, raz i drugi.

Tyson westchnął.

- Może nikt nigdy, ale ja cię na pewno potrzebuję, Merri. Uniosła brwi. Co on może mieć na myśli?

- No tak, mówisz o fundacji... - zaczęła. - Jestem ci w niej potrzebna. To o to chodzi, prawda?

- Cóż, niby tak - spojrzał na nią przelotnie. - Ale jednak nie tylko...

Teraz wyraźnie dosłyszała coś niepokojącego w jego głosie. Jakby tony erotyczne... To natychmiast obudziło w niej jej własny płomień. Ale i opór.

- Chyba nie proponujesz mi w tej chwili łóżka? Bo o czymś takim w ogóle nie myśl, to nie jest temat dla nas.

Zauważyła, że po tych jej słowach Tyson zacisnął nagle szczękę.

- Wcale o tym nie myślę - odrzekł głucho. - Ale przyznasz... - zawiesił głos i znów na nią spojrzął. - Przyznasz, że przeskakuje między nami jakaś iskra. Co?

Spuściła oczy. Czuła, że zaczyna się denerwować. Zaczęło ją coś łaskotać w żołądku; w karku poczuła napięcie. Rozejrzała się niepewnie.

Do licha. A już tak dobrze było w tym Stanville. Już miała tutaj ażyl, zaczęła się już urządzać i czuć bezpiecznie. A teraz powinna by chyba gdzieś wyjechać, żeby się nie dać uwikłać w romans biurowy? Tylko gdzie ma dalej uciekać, czy są dla niej na świecie w ogóle jeszcze jakieś bezpieczne miejsca?

Tyson zmienił bieg i dodał gazu.

- No dobrze - powiedział. - Może cofnijmy taśmę. Uznajemy, że potrzebuję cię, bo poczułem w tobie bratnią duszę, Merri. To chciałem ci przekazać. Nie są ci obojętne te biedne dzieciaki i mnie też nie są obojętne. Więc to nas łączy... A co do mojego własnego dzieciństwa... - westchnął. - Wiesz, parę dni temu umarła moja stryjeczna babka Lucylla. Wiele jej zawdzięczałem. Ona sfinansowała moją naukę i ona też wyłożyła pieniądze na mój pierwszy interes. Zawsze mi sprzyjała. A ja... - urwał. - A ja nie zdążyłem jej się w żaden sposób zrewanżować, nawet pogadać z nią przed śmier-

cią. Tak nas wszystkich zaskoczyła... Więc przynajmniej...
- uderzył dłonią w kierownicę.

Słuchała z uwagą tego, co mówił.

I dotarło do niej, że może w ogóle nietrafnie oceniała dotąd tego mężczyznę?

Tyson wziął głęboki wdech.

- Być może wypłacam się jakoś babce, prowadząc tę fundację. ... Tyle że chyba nie bardzo mam do tego talent - spojrzała na Merri. - Najgorzej mi idzie z donatorami, to już chyba wiesz... Ufam jednak, że ty będziesz mi umiała to i owo podpowiedzieć. Również coś w kwestii autoprezentacji szefa, manier i tak dalej - uśmiechnął się niej i puścił oko. - Chcę być bardziej skuteczny, Merri.

Merri poprawiła okulary na nosie i odchrząknęła.

- Słuchaj Tyson - spojrzała na niego znad szkielec. - Rozumiem, że jesteś porządnym człowiekiem... Ale rzeczywiście - położyła mu dłoń na przedramieniu - kiedy chce się czegoś od ludzi, nie wystarczy być porządnym. Do drzwi sponsorów pukają tłumy poszukiwaczy datków. Wobec tego jest rzeczą pożyteczną umieć być eleganckim, umieć spodobać się, czymś zaskoczyć, przekonać... Tylko nie jestem pewna, czy akurat ja potrafiłabym nauczyć takich rzeczy? I czy powinnam uczyć? Właśnie ciebie, mojego szefa?

Nim zdała sobie sprawę z jego intencji, Tyson zdjął jedną rękę z kierownicy i nakrył swoją dłonią jej dłoń.

- Powinnaś, powinnaś. Poopiekuj się mną trochę, Merri. A ja w zamian będę się tobą opiekował, chcesz? Zresztą tak, jak to przyrzekłem ciotce Jewel.

Ogarnęła ją nagła fala ciepła. Bo miłe było to jego do-

tknięcie i serdeczny uścisk dłoni. Wszystkie te gesty były bardzo przyjacielskie.

- No, zobaczymy - powiedziała.

Chwilę milczała, a potem nagle poczuła, że miałyby się chęć pozwierać.

- Wiesz, Tyse - zaczęła - ja przyjechałam tu do Stanville zacząć zupełnie nowe życie... - W tym miejscu urwała, bo zdała sobie sprawę, że nie powinna jednak powiedzieć zbyt wiele.

- Nowe życie? - popatrzył na nią. - To ciekawe. Ale co masz na myśli: uciekasz od kogoś, czy jak? Może od męża? Czy przyjaciela?

Zastanowiła się. Nie okłamię go, jeśli powie, że ucieka od mężczyzny, chociaż w ten sposób całej prawdy nie wyrazi.

- No więc, rzeczywiście - przyznała. - Parę tygodni temu zerwałam z kimś zaręczyny. I jeszcze nie całkiem przysłam po tym do siebie.

- Nie całkiem...? Hm. Jednak nie wyglądasz mi na kogoś, kto by miał złamane serce.

- Pozory mylą - skrzyżowała ukradkiem dwa palce. - W każdym razie nie jestem gotowa do żadnego nowego związku, otóż to... Na razie potrafiłabym się najwyżej przyjaźnić.

- Merri - pokręcił głową Tyson. - Naprawdę nie czuj się pod presją. Ja chciałem tylko... - nie dokończył zdania, bo na horyzoncie potężnie błysnęło i zaraz dał się słyszeć huk gromu.

- Oho, będzie burza - zauważyła Merri. - Ależ zrobiło się czarno.

W przednią szybę samochodu uderzyły pierwsze krople deszczu.

- Będzie burza i to z wielką ulewą - potwierdził Tyson. - Co wcale mnie nie cieszy.

- Ale przecież jesteśmy bezpieczni? - uniosła brwi Memi,

- Autostradzie nie grozi chyba podtopienie?

- Autostradzie nie. Ale gorzej z domkiem ciotki Jewel. W którym i ty mieszkasz.

- Z domkiem? Nie rozumiem. Przecież stoi na pagórku. .. Chyba jesteśmy już blisko - Merri rozejrzała się w lewo i w prawo.

- Zrozumiesz, jak zaczniesz lać. Obawiam się, że za chwilę będziemy mieli pełne ręce roboty.

- Jakiej znów roboty? O czym ty w ogóle mówisz?

Naprawdę czuła się zdezorientowana. Jakaś powódź w Stanville...? Niemożliwe. Całe miasteczko wzniesione jest nad doliną. O co więc chodziło Tysonowi?

Miała nadzieję, że za chwilę wszystko się wyjaśni.

Dojeżdżali na miejsce, a Tyse prawie w biegu wyskoczył z auta.

- Ile masz wiader? - rzucił przez ramię, pędząc w stronę domu.

- Wiader? Chyba jedno. Ale dlaczego?

Pobiegła za nim, chroniąc się przed ulewą połą kurtki.

I wtedy przypomniało jej się, co Steele opowiadał wcześniej o ciekącym dachu ciotki Jewel, wciąż oczywiście nie-
naprawionym.

Wpadła za Tyse'em do wnętrza, otrzepując się z wody. Szyb-

ko znalazła plastikowe wiaderko w schowku. Zwróciła uwagę, że światło mruga i nie wiadomo, czy w ogóle nie zgaśnie. Czyżby przewody zamokły? Czy nie będzie spięcia?

- Daj to wiadro! - zawołał z kuchni Tyson. - Wszędzie tu się leje!

Zajrzała za próg.

Tyse miał rację; domek Jewel rzeczywiście nie wyglądał na arkę, zdolną przetrzymać potop.

- Jedno wiadro nie wystarczy, daj jeszcze jakieś garnki - zakomenderował Tyson. - I podstawiaj wszędzie, gdzie kapie... A ja polecę na dach i zobaczę, co tam da się zrobić.

- Teraz będziesz szedł, po ciemku?

Uśmiechnął się do niej.

- Co, martwisz się trochę o mnie? Ale nie trzeba, dam sobie jakoś radę... Nie ręczę za wynik, ale będę się starał... Ciotka gdzieś tu miała drabinę, zaraz jej poszukam.

Kiedy wyszedł, Merri zaczęła rozstawiać po całej kuchni garnki, miski i nawet flakony. W pewnej chwili usłyszała głośny trzask

Nowy piorun? Czy może, nie daj Boże, Tyse spadł z drabiny?

Wybiegła na zewnątrz, nie bacząc na to, że wciąż lało jak z cebra. Zaraz za progiem potknęła się i jak długa rymnęła na trawnik. Spadły jej okulary. Nosem zaryła się w błotnistej mazi.

- O rany - jęknęła głośno.

Po chwili objęło ją czyjeś ramię.

- Wstawaj - rozległ się głos Tyse'a. - Skąd się tu wzięłaś? Nic ci się nie stało?

- Ja... ja... - wyjąkała. - Myślałam, że to ty spadłeś z drabiny. Taki był jakiś dziwny trzask.

Tyson roześmiał się i wziął ją na ręce. Wniósł ją do środka.

- Nic mi się nie stało - powiedział. - To tylko pioruny tak wala z bliska. Wtedy się słyszy trzask.

Stanęła na własnych nogach i usiłowała zetrzeć błoto z twarzy.

- Czekaj! - zaśmiał się. - Znajdę tu jakiś ręcznik i wytrze-
my buzię.

Buzia, odebrzmiało jej w myślach. Nawet ładnie to powiedział; miły z niego facet.

Tyson wrócił i wilgotnym frotte delikatnie zaczął czyścić jej policzki, czoło, nos i usta.

Czyniąc to, skupił wzrok na pięknych, pełnych wargach Merri. Natychmiast by je ucałował, gdyby nie to, że niby przyrzekł być tylko jej przyjacielem i niczym więcej.

Ach, te przyrzeczenia... Czy trzeba się ich koniecznie trzymać, gdy noc jest taka szalona, huczy od żywiołów? Za oknami - potop; biją pioruny. Dom przecieka jak roze-
schnięta arka.

Nie zastanawiając się dalej, pochylił się i przycisnął usta do pachnących trawą i deszczem ust. Merri nie cofnęła się; zdziwiona, pozwoliła smakować siebie. Zmiękła w objęciach Tysona. Przymknęła oczy.

O, moja słodka, zaszumiało mu w głowie. Okropnie cię pragnę. Bardziej, niż sam chciałbym się do tego przyznać.

I już gotów był znów wziąć ją na ręce i ponieść do sypialni (też zapewne cieknącej), gdy nagle ruszyło go sumienie. Bo przecież tak się nie robi, powiedział sobie. Nie wolno wyko-

rzystać tej biednej dziewczyny, gdy przyrzekało jej się przyjaźń, czyli szacunek i godne traktowanie.

Oderwał się od Merri.

- Przepraszam cię - powiedział cicho. - Chyba lepiej już sobie pójdę.

Ale co to znaczy „pójdę”, rozejrzał się. Czy wolno mu teraz odjechać i zostawić Merri w tym zagrożonym domu?

- To znaczy - podjął - pójdę jeszcze raz na dach i sprawdzę, co można tam jeszcze zrobić. Na razie przybiłem kawał nowej papy... A ty może zaczniesz teraz ścierać podłogę?

- Słucham? - zamrugła oczami. - Ścierać podłogę? - Widać było, że nie całkiem chwyta sens nagłej zmiany sytuacji. Oblizła obrzmiałe wargi tak, że Tyson od razu nabrał chęci powrotu do tego, co przed chwilą robili.

Jednak powstrzymał się. Zrobił krok w stronę drzwi.

- Tak, może byś tu pościerała... Poszukaj w schowku mopa.

- Aha - powiedziała cicho. - Mopa... W schowku.

Wyglądała tak, jakby jej się zrobiło nagle chłodno. Objęła się ramionami i rozejrzała dookoła. Była bezradna i wzruszająca, a jednak Tyson wytrwał w pobliżu drzwi, nie wrócił do niej.

- No właśnie. Mopem będzie najlepiej... Ja zresztą za parę minut wrócę i pomogę ci.

Chwycił za klamkę. Ale jeszcze raz obejrzał się. Skupił wzrok na tych jej pięknych ustach.

- Merri - zdjął rękę z klamki. - Merri...

Pokręciła głową i cofnęła się.

- Nie, Tyson. - Przymknęła oczy i zrobiła głęboki wdech.

- Chciałeś iść, no to już idź. Zresztą i tak mieliśmy być tylko przyjaciółmi... - cień uśmiechu przemknął przez jej twarz.

Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która by powiedziała „nie”, gdy on był raczej na „tak”. Bardzo go to zaskoczyło. Nie wiedział w tej chwili, jak zareagować.

Tymczasem ona odwróciła się powoli i nic nie mówiąc, wyszła z kuchni. Po prostu.

Tyson zawahał się. Jak postąpić? Nagle poczuł się dziwnie samotny. W desperacji przeczesał palcami swe zmoczone włosy. I z niechęcią wyszedł na dwór.

Deszcz nie był już tak intensywny jak przedtem. Właściwie prawie przestał padać. Lecz Tyse prawie tego nie zauważył. Powoli wchodząc po drabinie, krążył myślami wokół pytania, czy nie wymknęło mu się teraz coś najważniejszego w życiu? Coś co zaczęło się, lecz może nie mieć dalszego ciągu?

Zatrzymał się. E, chyba nie jest tak źle, pomyślał. Dalszy ciąg zawsze jest możliwy. A poza tym - cóż się właściwie stało? Pocałował kobietę, której prawie nie zna. Poczuł podniecenie, które właśnie mija. I to wszystko. A więc... ?

No właśnie. Zbyt dramatycznie ocenił sytuację. Na razie chyba nic nie stracił. W każdym razie nadal pozostają z Merri partnerami w pracy. No i mogą być dobrymi przyjaciółmi.

A to, czy będą tylko przyjaciółmi... to jest kwestia otwarta. Może lepiej, żeby między nim i jego personelem nie powstało nic bliższego? Mądrze jest zachować dystans z podwładnymi, to przecież jedna z podstawowych prawd. Że też człowiek ciągle zapomina pożytecznych reguł. Ech, głupota odrasta nam jak zielsko w szczelinach dumnych budowli.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Mop - ale właściwie, co to jest mop? Zastanawiała się Merri, buszując w schowku za kuchnią. Czuła, jak w jej żyłach szybko krąży krew, nieostygła jeszcze po tym nagłym zbliżeniu z Tyse'em. Odrzuciła w tył wilgotne włosy. Co to jest mop i jak może wyglądać?

Oparła się plecami o drzwi schowka i przymknęła oczy. Piękny mężczyzna z tego Steele'a... I śmiało sobie poczyna. Śmiało, lecz pod powierzchnią męskiej brawury wyczuwa się jakąś delikatność... Delikatność i coś jeszcze. Coś jakby... niepewność, podatność na zranienie?

A więc oboje są do siebie podobni? Są, czy byli, królami życia - jednak tam, pod spodem, tęsknią do lepszej prawdy, do autentycznego spotkania z kimś bliskim i czułym, są wrażliwi i niepewni siebie.

Merri otworzyła oczy. Chciałaby się teraz przytulić do Tyse'a i po prostu pobyc z nim blisko. Bez seksu. Gładziłaby jego włosy. Słuchałaby bicia serca. On by jej coś opowiadał, wyjawiał jakieś sekrety.

Sekrety? No nie, dlaczego akurat sekrety? Pokręciła głową.

Nie on był tym, który hodował tutaj jakieś tajemnice. Nie

on wprowadzał w błąd otoczenie swym wyglądem. Nie on uciekł z Los Angeles, aby zachować incognito na teksańskiej prowincji. To ona ma sekrety, Tyson zaś to człowiek o przejrzystej tożsamości, deklarujący przywiązanie do prawdy i „bycia wprost”.

Merri westchnęła. Rozejrzała się i złapała za uchwyt czogoś, co mogło być mopem. Obejrzała tę dziwną miotłę i wróciła z nią do kuchni.

Wróciwszy, zaczęła tym czymś pocierać podłogę. Zajął jej trochę czasu, nim zgrała problem mopa z wiadrem, do którego wyciskała wodę.

Całkiem przyjemne zajęcie, pomyślała. Lepsze niż gimnastyka wyszczuplająca, wizyty w salonach masażu, godziny spędzane u kosmetyczek i fryzjerów. Mop to jest życie, uśmiechnęła się. To jest prawdziwe życie.

- Hej - niespodziewanie na progu stanął Tyse. - Nieźle machasz, jak widzę, ale w ten sposób do północy nie osuszemy kuchni.

Wyprostowała się.

- Dlaczego? Coś źle robię?

- Może i dobrze, ale chyba mało wydajnie. Poczekaj - powiedział. - Przyniosę jakieś stare ręczniki, to nam pójdzie szybciej.

Po chwili już był z powrotem. Rzucił jeden z ręczników Merri; pozostałe cisnął na podłogę. Przykląkł i sam zaczął zbierać wodę.

- Mopem za długo by trwało - wyjaśnił.

W niemym zadziwieniu obserwowała jego ruchy. Milioner, właściciel wielu nieruchomości, ba, również stacji ben-

zynowych, wielki biznesmen i fundator, a ściera tutaj podłogę. Na kolanach, jak zwykła sprzątaczką.

Uznała, że jest to nowa lekcja dla niej. Przyklękła obok Tysona i pracowała razem z nim.

Wkrótce podłoga w kuchni była sucha. Za oknami deszcz przestał padać. Wszystko zmierzałoby do jakiegoś happy endu, gdyby nie to, że Merri czuła się coraz mniej pewna w swym sumieniu... Taki porządny, prawdziwy człowiek, a ona próbuje go zwieść, wyprowadzić w pole. Udaje osobę, którą nie jest. Usiłuje się z nim zaprzyjaźnić, zaczynając od kłamstwa.

O Boże. Wszystko to może się skończyć wielką awanturą... Niech no tylko błysną pierwsze flesze paparazzich.

Nie, nie, zacisnęła zęby. Nic nie może błysnąć. Nie wolno do tego dopuścić. Taka sytuacja się po prostu nie zdarzy.

Podniosła się z kolan i wyprostowała się.

Mowy nie ma. Taka sytuacja się po prostu nie zdarzy.

Przez dwa dni Tyson starał się nie bywać w biurze fundacji i nie widzieć z Merri. W końcu jednak dał za wygraną. Wciąż i tak myślał tylko o swojej asystentce, a nawet nie mógł przez nią spać.

Cóż można zrobić...? Trzeba się chyba postarać o powrót do statusu przyjaciela? Przyjaciela oraz szefa, którym zresztą się jest. W końcu Merri to jego podwładna i powinni nadal ze sobą współpracować, o ile fundacja ma dalej trwać. Na porządną naprawę czeka też dach domku Jewel, a to znowu wiąże się z osobą panny Davis.

No właśnie. Trzeba więc jechać do biura. Lecz przedtem

należałoby się porządnie ubrać, tak, by nie urazić uczuć estetycznych Merri... Tyson przejrzał się w lustrze. Doszedł do wniosku, że nie może dziś włożyć swoich zwykłych, wytartych portek i flanelowej koszuli w kratę. Zdjął z półki nowe džinsy i rozerwał opakowanie nie używanej jeszcze koszuli w odcieniu morskiego błękitu. Wybrał też przyzwoite buty, które tuż przed wyjściem starannie oczyścił.

Przy okazji tych czynności zastanowił się jeszcze raz nad wyglądem samej Merri. Ta panna ubiera się skromnie - elegancko, ale skromnie. Tak jak należy do pracy. Niemniej wszystkie ubrania, które dotąd na niej widział, dziwnie jakos wyglądały raczej na przebrania. Skąd to się bierze?

Ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie swoją narzeczoną sprzed wielu lat, Diane. Ta dopiero lubiła się stroić! Merri w zasadzie była przeciwieństwem tamtej panny...

Jedźmy więc do pracy. Dalsze unikanie Merri Davis naprawdę nie ma sensu. Jeśli mają być tylko przyjaciółmi - będą przyjaciółmi. A namiętności czy uczucia będzie się trzymało mocno na wodzy.

Po półgodzinie Tyson zajeżdżał już swą półciężarówką na parking przed biurem Fundacji. Wysiadł, lecz nim wszedł do budynku, odruchowo potarł czubki butów o nogawki spodni. Kiedy uświadomił sobie, co robi, musiał się uśmiechnąć. Nic takiego nie zdarzyło mu się chyba od czasu, gdy był chłopcem i chodził do szkoły.

- Witaj - pozdrowił od progu Merri, którą zastał schyloną nad komputerem. - Jak idą nasze sprawy?

Popatrzyła nań swymi zielonymi oczami i skrzywiła się.

- Bywało lepiej - powiedziała. - Komputer mi się teraz

bez przerwy zawiesza. A do tego przed chwilą zadzwoniła Jewel, która chce, żebym o czwartej była w jakiejś mieścinie McAllen, u jej przyjaciółki, w związku ze strojami do pokazu mody. Będę miała dzień latania.

- Juanita Ramirez.

- Słucham?

- To ta znajoma Jewel, tak się nazywa. Od niedawna prowadzi butik, a kiedyś była uczennicą ciotki. Ciotka Jewel udzielała się kiedyś, prowadząc zajęcia w szkole wieczorowej.

-Aha, rozumiem - Merri rozchmurzyła się nieco. - A więc to panna Ramirez... Ciotka podała mi tylko jej imię. Mimo wszystko...

- Mam pewien pomysł - przerwał jej Tyson. - Ulepszmy dzień, który ci się tak marnie zaczął, chcesz? Zawiozę cię do McAllen, ale najpierw zajrzemy do mego przyjaciela, który ma tam w pobliżu ranczo i niedawno dzwonił do mnie w sprawie fundacji. Chciał mi wręczyć jakiś okazały czek... A tym komputerem się nie przejmuj - Tyson pokazał głową. - Wezwiemy technika, który raz dwa upora się z tym pudłem. Mam tu w Stanville takiego informatyka na stałej umowie.

Merri zastanowiła się, czy chciałyby być z Tysonem znów sam na sam, w drodze do McAllen i z powrotem, i czy ewentualne bycie razem z nim naprawdę ulepszy jej dzień?

- No, nie wiem - powiedziała - nie wiem.

- Jak to nie wiesz, czego nie wiesz? Zabieram cię właściwie w delegację służbową, jedziemy do donatora, tak to potraktuj... Czekaj, co ty masz dziś takie piękne oczy? Aha, jesteś bez okularów. Czyli niekoniecznie musisz je nosić?

-Ja...? - Merri rozejrzała się, szukając swych szkieł. - Właściwie muszę... Ale do komputera nie noszę.

- No i bardzo dobrze - skinął głową Tyse. - A wracając do planu dnia: zrobimy więc sobie sesję wyjazdową, tak? Wpierw pojedziemy na to ranczo, do mego przyjaciela, a w drodze powrotnej wpadniemy do Juanity.

Merri znalazła swoje okulary. Umieściła je na nosie.

- Jeśli taka jest wola szefa...

- Właśnie taka - uśmiechnął się Tyson. - W takim razie co? Chodźmy może od razu.

Patrzył, jak Merri porządkuje swoje rzeczy na biurku i z jaką gracją się przy tym porusza. Miała dziś na sobie nie swój czarny kostium, ale jakąś sukienkę z długim rękawem. Uderzyło go, że ta sukienka jest dokładnie koloru jej szmaragdowych oczu.

Ach, zielone oczy... „Oczy zielone, życie szalone”, przypomniał sobie jakieś stare porzekadło. Nabrał dużo powietrza do płuc i pomyślał, że mimo wszystko wolałby nie mieć żadnych kłopotów z powodu tych zielonych oczu. Ale zobaczymy, co zdarzy los.

I to miał być „ulepszony dzień”, mruzczała do siebie Merri, objana w aucie, które meandrowało wśród wybojów polnej drogi, oddalając się od Stanville. W dodatku nasilał się upał, z którym klimatyzacja wozu Tysona nie bardzo dawała sobie radę.

- O rany! - złapała się uchwytu nad głową, gdy po raz któryś z rzędu podrzuciło ich na jakiejś wyrwie.

Tyson zaśmiał się.

- Nie martw się, jesteśmy już prawie na miejscu. Miguel Santos mieszka tutaj, za tym zakrętem.

- Mówiłeś, że ma dla ciebie spory czek, czyli że nie jest biedakiem?

- Ano nie jest.

- To dlaczego jedziemy do niego takimi wertepami? Cemu on sobie dotąd nie poprawił drogi?

Tyson wzruszył ramionami.

- Niektórzy lubią polne drogi. I właśnie Miguel, to znaczy Mike, bardzo je lubi.

Przyjrzała się Tysonowi. Dotarło do niej, że jest dziś jakby odmieniony. Ma na sobie nowe dzinsy i ładną, błękitną koszulę, która świetnie pasuje do koloru jego oczu. Czyżby zaczął dbać o siebie? Najwyraźniej tak. Ale skoro zrobił krok w dobrą stronę, pomyślała, mógłby też zrobić następny i któregoś dnia zaprezentować się przed nią w garniturze, jak przystało na szefa. Nie wiadomo tylko, czy on ma choć jeden garnitur...? Ciekawe, czy opierałby się, gdyby mu zaproponowała wspólne wybranie się do dobrego magazynu lub nawet do krawca?

Zza zakrętu wyłoniła się rozległa hacjenda, zapewne należąca właśnie do Miguela.

Podjechali pod nią i zaparkowali.

Ledwie wysiedli z samochodu, na progu domu zjawił się właściciel posiadłości i zaczął iść w ich stronę. Był niewysokim brunetem o żywych, brązowych oczach i osrebrzonych już skroniach. Jakkolwiek niższy od Merri, wydawał się wyższy, ponieważ w ruchach, całej postawie i w wyrazie twarzy miał coś jakby narzucającego respekt.

A przy tym był jednak w roboczych łachach... Merri uśmiechnęła się do siebie. Czyli że nie zawsze suknia zdobi człowieka, jak to się mówi. Czasem człowiek zdobi suknię.

Mężczyźni przywitali się serdecznie, Miguel przedstawił się Merri, po czym wszyscy ruszyli na drinka do obszernego salonu, którego cała przeszklona ściana otwierała się na taras ogrodowy.

Przez godzinę gawędzono o tym i owym; w ruch poszły zasoby domowych fotografii; Mike pokazał, jakie to już ma duże wnuki oraz jak wyglądała jego ostatnia żona. Opowiadał o ranczu, które było własnością jego rodziny od przeszło dwustu lat.

Maria, żona, była wyjątkowo piękną kobietą. Niestety, opuściła już ten świat. Pochodziła z biednej rodziny meksykańskich imigrantów. Merri, słuchając o żonie Miguela, ze wstydem zdała sobie sprawę, z jak bogatego domu sama się wywodzi

Odstawiając albumy na miejsce, Mike spojrział w stronę Merri i uśmiechnął się.

- *Dziękuję, żeście wpadli oboje i zechcieli posłuchać gaudania starego człowieka. Ale zwłaszcza jak na ciebie patrzę, Merri - znów się uśmiechnął - dziwnie czuję, że gotów byłbym ci wyznać, cokolwiek byś zechciała. Gracias.*

Potem zbliżył się do Tysona i poklepał go po ramieniu.

- Przygotowałem ten czek *amigo*, dla tych twoich sierot. Zawsze będę pamiętał to, że kiedyś mi bardzo pomogłeś. Bez ciebie już nie miałbym tego rancza... Chociaż właściwie - zawahał się. - Opowiadając o mej biednej Marii pomyślałem, że może spodobałoby jej się, gdybym wypisał inny czek, dwa

razy lepszy? Czuję, że ja wciąż jeszcze za mało dobrego zrobiłem na świecie... Tak że poczekajcie chwileczkę, ja szybko skoczę na górę i przygotuję nowy blankiet.

Wychodząc, obejrzał się w progu.

- Ładną parą jesteście, pozwolę sobie zauważyć. Nareszcie szczęście uśmiechnęło się do ciebie, Tyson, docień to.

Doceniam, pomyślał Tyse. Cieszył się w istocie każdą minutą, którą spędzał z Merri. Teraz przez cały czas obserwował, jak ona czarowała jego starego przyjaciela. Był ujęty jej niekłamany przejęciem się opowieścią Mike'a, a jednocześnie delikatnością, z jaką podpytywała go o różne rzeczy, tak, żeby nie zakłopotać Santosa.

- Wiesz - Tyson pochylił się w stronę Merri - nie znałem dotąd tej historii żony Miguela. Dopiero ty ją z niego wydobyłaś. Podziwiam twoją zdolność zjednywania sobie ludzi, skarbie.

Skarbie. Zarumieniła się lekko na to słówko. I w ogóle, co to znaczy, że stanowią parę?

- Masz sympatycznego przyjaciela, Tyse - odrzekła. - Łątwo jest słuchać *opowieści miłych* ludzi... A co do podwójnego czeku, to zasługa w zdobyciu go na pewno nie leży po mojej stronie, tylko po twojej. To ty cieszysz się szacunkiem starego Santosa. Mnie on prawie nie zna.

- Nie zna, a przecież powiedział ci, że gotów byłby ci „wynać”, co byś tylko zechciała! Umiesz oczarowywać ludzi, Merri.

No właśnie. W tymże momencie Tyson zdał sobie sprawę, że on sam także ulega czarowi panny Davis i że właściwie jest już może stracony?

Powinien coś koniecznie zrobić, żeby pozostała w Starville. Ale co? Może podnieść jej pobory? Może mianować szefową całej fundacji?

Fundacja na tym na pewno by skorzystała.

On oczywiście też.

A Merri? Kto wie. Miejmy nadzieję.

scandalous

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stara Cyganka przymrużyła oczy, wpatrując się w swą kryształową kulę. W końcu skrzywiła się. Cóż za głupiec.

Wprost trudno uwierzyć, że ten Tyson Steele doszedł w życiu do tak wielkich pieniędzy. I bardzo też dziwne, że ów głupiec pochodzi z rodziny tak wielkiej damy, jaką była Lucylla Steele.

Cyganka odchyliła się w swym fotelu, opierając łokcie na poręczach i łącząc czubki sękatych palców. Hm, jak postępować? Instrukcje świętej pamięci ojca były wyraźne: każdy członek rodu Lucylli, znajdujący się w potrzebie, ma otrzymać magiczny podarunek, przewidziany specjalnie dla niego. Tysonowi brakowało wizji życiowej, zatem dostał sprzyjające wizjom zwierciadełko.

Rozczesując palcami swe długie, siwe włosy, spływające spod szkarłatnej chusty, stara wiedźma potrząsnęła głową i znów się skrzywiła. Co ma zrobić z tym idiotą? Magiczne lustro wetknęła mu przecież wprost do ręki. Wystarczyło zajrzeć do niego, skorzystać z jego czarodziejskiej mocy.

No tak, ale ten młody zarozumialec pewnie nie tknął lu-

stra. I dlatego teraz tak niemądrze postępuje. Nie ma wizji, nie wie, co dla niego dobre.

Och głupi, głupi. Przecież ona nie zdecyduje za niego. Żeby czar zadziałał, potrzebna jest dobra wola zainteresowanego. Co zrobić z tym fantem?

Mogłaby dalej obserwować w kryształowej kuli losy Steele'a, ale wątpiła, czy wytrzymałaby, widząc, jak na przykład Tyson traci wszystko... Biedna Lucylla Steele, że tacy jej się potomkowie trafili.

Ach, głupi, głupi młokos!

Idąc przez ziejący żarem asfaltowy parking Merri czuła, że z każdym krokiem słabnie. A więc tak tutaj wygląda wczesna wiosna? Wobec tego, co się musi dziać w środku upalnego lata?

- Myślę, że spodoba ci się Juanita - odezwał się Tyse, kierując Merri ku wielkiej galerii, mieszczącej między innymi butiki.

Zerknęła na niego i zdziwiła się. Jak on świeżo wygląda? Czyżby ten żar na niego nie działał? Nie spocił się ani nie zziajął. Cóż, może po prostu przywykł do tutejszego klimatu.

Ona sama była aż lepka pod bluzką. Łaskotała ją strużka wilgoci, ściekającej między piersiami. Ni stąd, ni zowąd poczuła się od tego pobudzona. Od tyłu już godzin są tak blisko siebie!... I ten pamiętny pocałunek... Szkoda, że Tyse udaje, jakby między nimi nic nie zaszło. Jakby w ogóle chciał się wycofać i grać jedynie rolę przyjaciela. No i zapewne szefa.

- Mam nadzieję - odezwała się - że Juanita rzeczywiście wspomże nas przy tym pokazie mody. Że ma dobry gust.

- Myślę, że ma - uśmiechnął się Tyse. - Ta dziewczyna nie jest przecież prowincjonalną gąską. Kilka lat pracowała w Nowym Jorku. Otarła się o świat wielkiej mody.

- Ach tak? - uniosła **brwi** Merri. Jednocześnie poczuła niepokój. Bo nie da się wykluczyć, że może wobec tego zetknęła się kiedyś z tą Juanitą? Skoro tamta „ocierała się” o świat wielkiej mody?...

Weszli do galerii, kierując się ku sklepom z odzieżą.

- To tutaj - wskazał Tyson. - O, już ją widzę... Hej, Janie! - zamachał z daleka ręką.

Janie...? O Jezu. No nie. Tylko nie to. *Janie Ramirez*? Cholera, ma się jednak tego pecha.

- Dlaczego to „Janie”? - zapytała słabym głosem. - Przecież miała to być Juanita, nie Janie.

- I jest Juanita - wzruszył ramionami Tyse. - Ale to lokalnie. Natomiast szerzej w Stanach znana jest właśnie jako Janie.

Trudno. Już za późno na odwrót... Co jednak zrobić, by nie dopuścić do katastrofy? Można liczyć tylko na swój zmieniony wygląd i na krótką pamięć Janie.

- Miło cię widzieć, Juanita. - Tyson wyciągnął rękę, wchodząc do butiku. - Pozwól, że ci przedstawię moją nową asystantkę i zarazem lokatorkę Jewel, Merri Davis.

Merri spuściła oczy.

- Dzień dobry pani - odezwała się głucho.

- Merri? - W głosie panny Ramirez zadźwięczało zdziwienie. - Jak to... Zaraz...

- Tak, nazywam się Davis - Merri zaryzykowała spojrzenie w oczy Juanicie - i to mnie z panią umówiła dzisiaj Jewel Adams.

Juanita wydawała się zdezorientowana. Mrugała oczami i marszczyła czoło.

- Tyson - Merri zwróciła się do szefa. - Może byś sobie pospacerował trochę po galerii, co? My tu pewnie pogadamy sobie dłuższą chwilę o ciuchach; to są nudne rzeczy dla mężczyzn.

Miała nadzieję, że kiedy zostaną z Janie same, coś może da się tej dziewczynie wytłumaczyć.

Tyse wydawał się zdziwiony, ale nie oponował.

- No dobra - powiedział. - Wobec tego porozglądam się tutaj trochę... Mam komórkę, w razie czego dzwońcie. Jakbyście skończyły. - Ruszył do wyjścia, ale jeszcze się odwrócił.

- Wiesz, Merri - uśmiechnął się. - Zajrzałbym może do działu męskiego, co? Co ty na to?

- Niezła myśl - skinęła głową. - Tylko... może poprosisz tam sprzedawcę o poradę? Nie kupuj nic na chybił-ka.

Zaśmiał się.

- Zrobi się, proszę pani. Wiem, do czego mam talent, a do czego go nie mam. Będę się radził sprzedawcy.

Talent, przebiegło jej przez myśl. Ciekawe, czy zechciałby jeszcze mieć talent do mnie...? To naprawdę byłoby bardzo ciekawe.

- Merrill Davis-Ross - odezwała się cichym głosem Juanita. - Co ty tutaj robisz? Mam nadzieję, że nie jest to

jakaś twoja nowa intryga czy gierka... Bo jeśli tak, to przysięgam...

- Czekaj, nie tak prędko, Janie. Pozwól, że coś ci wytłumaczę.

Juanita wzruszyła ramionami, wzięła Merri pod łokieć i pokierowała nią ku zapleczu swego sklepu.

Kiedy znalazły się sam na sam, w zacisznym pomieszczeniu, wyposażonym w małe biurko i dwa krzesła, Janie puściła Merri.

- Coś mi się tu nie podoba - pokręciła głową. - To, że sama pakujesz się w kłopoty, to twoja sprawa. Ale gdybyś miała wplątać w swoje intrygi moich przyjaciół, to... Na to nie pozwolę.

- Czekaj, nie tak prędko - Merri oparła się o biurko. - Jeśli tak ci zależy na Jewel i Tysonie, dlaczego mnie od razu nie zdemaskowałaś? Pięć minut temu? Czemu nie zrobiłaś tego w chwili, gdy ujrzałaś mnie w progu ze Steele'em?

Janie zwięzła spojrzenie.

- Czemu? Sama nie wiem... Powiem ci, że w pierwszym momencie zdezorientowałaś mnie tym swoim przebraniem. Po prostu mnie zatkało... A poza tym...

- Poza tym, co? - wpadła jej w zdanie Merri. - Uważasz, że jednak trochę mnie lubisz? Że dobrze nam się kiedyś współpracowało?

- Może - poruszyła brwiami Janie. - Ale właściwie nie chodzi o ciebie. Raczej o Tysona i ten jego wyraz twarzy, kiedy mi ciebie przedstawiał. Od razu zauważyłam, że ma jakiegoś hopla na twoim punkcie. Dlatego się zawahałam, również dlatego.

- Ma hopla! - zaśmiała się Merri. - Naprawdę tak myślisz? Tyson Steele? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie udawaj - Janie opadła na jedno z krzeseł, wskazując Merri drugie. - Przecież takie rzeczy widzi się od razu... A ty lepiej powiedz, co z tym twoim gejem, za którego miałaś wyjść. Coś ty sobie wtedy wymyśliła? A ostatnio go chyba rzuciłaś, co?

Merri zasiadła naprzeciw Janie.

- To wszystko jest dużo bardziej skomplikowane... - zaczęła.

I opowiedziała Juanicie o Bradzie, któremu po prostu chciała pomóc. Zgodziła się być jego niby-narzeczoną, bo chciała, żeby się od niego odczepili, przynajmniej na chwilę, natrętni paparazzi. Żeby zgubili jego trop. Niestety, nie zgubili tropu. Został sfotografowany ze swym kochankiem, a wtedy agent Brada zadzwonił do Merri z przeprosinami i powiedział, że dalsze podtrzymywanie fikcji narzeczeństwa nie ma sensu. Bardzo przeproszał.

- Rozumiem - skinęła głową Juanita. - I ty uznałaś się jakoś za spaloną, dobrze zgaduję? I postanowiłaś się zaszyć w jakiejś dziurze. Na przykład w Stanville.

- Mniej więcej tak - zgodziła się Merri.

- Rozumiem - Juanita założyła nogę na nogę. - Tylko dlaczego zawracasz teraz w głowie tak porządnemu facetowi jak Tyson Steele? A przy okazji jego ciotce?

- Ja nikomu nic nie zawracam. Po prostu podjęłam pracę w fundacji Tyse'a. Możesz mi nie wierzyć, ale już od bardzo dawna miałam ochotę zmienić swoje życie i zacząć robić coś naprawdę pożytecznego. Takie są fakty.

Janie milczała przez chwilę, studiując twarz Merri.

- Muszę ci przyznać - powiedziała - że ta twoja charakteryzacja jest naprawdę niezła... A co do twoich motywacji... No dobrze, może i jest tak, jak mówisz. Ale wobec tego, dlaczego tu na miejscu kluczysz, zmieniasz nazwisko, nie mówisz prawdy szefowi i tak dalej?

Merri poprawiła się w krześle.

- Wiesz, Janie, po prostu bałam się, że on mnie z tą moją przeszłością nie zaakceptuje.

- A teraz... Przecież chyba widzisz, że cię lubi?

- Teraz jest mi jakoś wstyd. I nie mogę się przełamać.

Janie pokręciła głową i zmarszczyła się.

- Mmm. Nie możesz jednak przeciągać tej sprawy zbyt długo. Tak czy owak będziesz musiała kiedyś powiedzieć prawdę.

Merri westchnęła.

- Niby tak. Ale myślałam, że może nie od razu... Niech minie ileś tygodni... Niech się ci paparazzi ode mnie odczepią, zapomną. W tym czasie Tyse i Jewel poznają mnie lepiej. .. Sama rozumiesz.

Janie zastanawiała się przez kilka sekund.

- Cóż... Niezbyt się to wszystko zgadza z moimi intuicjami. Według mnie, im dalej zabrniesz z Tyse'em w kłamstwo, tym będzie ci potem trudniej się wycofać.

- Proszę cię - Merri uchwyciła dłoń Juanity. - Pozwól mi to wszystko przeprowadzić po mojemu. Ja wierzę, że mi się uda.

- No, dobrze - Juanita zgodziła się z ociąganiem. - Niech ci i tak będzie... Dochowam tajemnicy. Ale uważaj: jeśli

skrzywdzisz tych dwoje dobrych ludzi, wtedy nie licz, że się nad tobą zlituję. Więc uważaj.

Merri bez słowa pokiwała głową.

Gotowa była dać z siebie wszystko, by nikogo nie skrzywdzić.

A już zwłaszcza nie Jewel i nie Tysona.

Po dwóch godzinach Tyse pojawił się na progu butiku Juanity, obładowany naręczem toreb.

- Hej, dziewczyny, chyba zapomnieliście o mnie? - zapytał wesoło. - Żadna do mnie nie dzwoni.

Spojrzały nań dwie pary oczu, brązowa i zielona.

- Nie zapomnieliśmy - odezwała się Merri. - Tylko że byliśmy bardzo zajęte sprawami odzieżowymi.

- Chodzi o pokaz mody - przypomniała Juanita.

- Wiem, wiem - Tyson zrzucił swe naręcze na najbliższy fotel.

- A coś ty taki obładowany? - pokazała głową Merri. - Chciałeś za jednym zamachem zreformować całą swoją garderobę?

- Zreformować? - zdziwił się Tyson. I zaraz się uśmiechnął. - Ale właściwie, czemu nie. To dobre słowo. Otóż chętnie ją zreformuję.

- To co w takim razie kupiłeś? - zainteresowała się Juanita.

- A, to i owo. Na przykład garnitur. I jeszcze smoking.

- Smoking? Po co ci smoking? - zdziwiła się Merri.

- Dobre pytanie - skinął głową Tyson. - Otóż wyobraźcie sobie, że pół godziny temu zadzwonił do mnie Frank Jarvis i przypomniał mi o tym balu u gubernatora. Jutro gubernator zaprasza przedstawicieli organizacji charytatywnych z ca-

tego stanu, w tym również mnie. Nie poszedłbym na to, gdyby nie to, że... - Tyse zawiesił głos.

- Że co? Że co? - zapytały jedna po drugiej Juanita i Merri.

- Że mam już kostium na ten bal - Tyson zrobił szelmowską minę. - Ale mówiąc poważnie, idzie raczej o pannę Davis. Sam bym się na taką imprezę nie wybrał, ale z moją asystentką - owszem.... Liczę na twoje wskazówki i wsparcie - zwrócił się do Merri. - Wiesz, chodzi o te wszystkie zawiłości związane z etykietą i tak dalej.

A niech cię, pomyślała Merri. Gubernator, etykieta i oczywiście liczne kamery. Z kamerami może być najgorzej.

- Wybacz - pokręciła głową. - Ale może pójdziesz z kimś innym z twojej firmy? Bo ja... ja nie mam żadnego stroju na taki bal.

Nie znalazła na poczekaniu lepszej wymówki i od razu wiedziała, że jest na straconej pozycji.

Tyson zrobił zawiedzioną minę.

Natomiast Juanita uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- Chwileczkę - odgarnęła swe włosy z czoła. - Strój to drobiazg. W końcu ja jestem specjalistką od strojów! W pięć minut wybierzemy coś odpowiedniego...

- Ale mnie nie stać... - protestowała jeszcze Merri.

Tyson odchrząknął.

- Firma ci zafunduje - powiedział. - Tak to urządzimy. Powiedzmy, że dostaniesz strój roboczy. Bo my na balach też pracujemy - uśmiechnął się po swojemu. - Taka jest specyfika działalności dobroczynnej.

- No i pięknie - skinęła głową Juanita. - To wybieramy coś, i niech Merri od razu to przymierzy.

- Może coś czerwonego? - zaproponował Ty.

- O nie, o nie - odpowiedziały obie chórem.

- Dlaczego nie?

Merri przyłapała się na tym, że mówiąc teraz „nie”, powiedziała również „tak”... Bo jeśli roztrząsa sprawę koloru sukni, to chyba już zgodziła się pójść na ten bal? Niech to licho.

- Nie, ponieważ bale dobroczynne to nie dyskoteka - spojrzała na Tysona. - Tu trzeba by czegoś bardziej stonowanego-

- Właśnie - potwierdziła Juanita. - Wobec tego proponowałabym coś może... granatowego? Albo nawet czarnego?

- No dobrze - zgodził się niechętnie Tyson. - Tylko szybko to przymierzajcie, bo zdaje się, że jest już dosyć późno... Jewel ochrzani mnie, że moja asystentka tak długo dzisiaj pracuje.

Rzeczywiście jest późno, przebiegło przez głowę Merri. Ale późno raczej w tym sensie, że dopiero w tym momencie życia zaczęła odkrywać samą siebie. A także jest za późno jak na to, by mogła szczerze wyznać Tysonowi, kim w rzeczywistości jest i skąd się wzięła w Stanville...

Szkoda, że tak to wszystko wyszło.

Niech niebo ma ją w swej opiece.

Byli już niedaleko domu, gdy Tyson spojrzął na Merri, do której przez ostatnie pół godziny prawie się nie odzywał.

- Kim ty naprawdę jesteś, Merri? - zapytał.

Zrobiło jej się nagle gorąco. Czyżby czytał w jej myślach?

- Kim jestem? O co ci chodzi?

- Po prostu o to, że prawie nic o tobie nie wiem. Nie wiem na przykład, kim są, czy byli, twoi rodzice. Ani do jakich szkół chodziłaś. Albo w jaki sposób zerwałaś z tym facetem, z którym byłaś zaręczona. - Tyse nabrał dużo powietrza. - Pogadajmy o tym, co?... Bo ty o mnie sporo wiesz. W moim życiu nie ma żadnych tajemnic.

Pokiwała głową, ale w milczeniu.

On znów spojrział na nią.

- No więc kim jest prawdziwa Merri Davis?

- Prawdziwa Merri Davis jest tą osobą, którą znasz - odzekała. - Jest kimś, kto marzy o spokojnym życiu w małym mieście i robieniu czegoś sensownego, na przykład o pomaganiu sierotom - jak w twojej fundacji.

Tyse potrząsnął głową.

- Myślę, że to nie wszystko... Przeczuję w tobie jakąś tajemnicę, Merri... - Przez moment się wahał. - Chodziłaś może kiedyś do szkół z internatem? Czasami twój amerykański brzmi z europejska. Również sposób, w jaki się poruszasz, nie jest zwykły. Zupełnie jakbyś była modelką albo korzystała z jakichś kursów... gracji?

- Ja... - poczuła nagłą pustkę w głowie. - Ja rzeczywiście chodziłam do różnych szkół z internatem. Niektóre z nich były w Europie. I może stąd ten akcent.

Jak na razie udawało jej się mówić prawdę... Sporo z rodzicami podróżowali po świecie. A kwestii gracji może nie

będą drażyli... Dociekliwy jest ten Steele, pomyślała. Inteligentny, i chyba więcej niż inteligentny.

Co będzie dalej? Dokąd zaprowadzi ich oboje ta inteligencja i dociekliwość Tysona? Miała nadzieję, że nie na manowce.

Niechaj ich oboje niebo ma w opiece.

scandalous

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Czyli, że masz majątnych rodziców - spojrzał na nią, skręcając z obwodnicy w kierunku Stanville. - Podróże, Europa. ..

- Bo ja wiem. Niektórzy powiedzieliby, że tak. - Merri poluzowała na moment swój pas bezpieczeństwa.

- Ale co... Nie dają ci teraz pieniędzy?

- Nie - pokręciła głową. - W ogóle żyjemy ze sobą nie-
zbyt blisko.

Pomyślała, że pakiet akcji w jednym z funduszy powierniczych, ofiarowany jej przez ojca, można by uznać za „niepieniądze”. Bo i tak się przecież tego nie tyka.

- Rozumiem. Czuję, że nie bardzo masz ochotę o tych sprawach mówić.

Byli już prawie pod domem Jewel. Tyson wykonał ostatni skręt i zaparkował przy krawężniku. Wyjął kluczyki ze stacyjki.

- A masz jakichś braci? Siostry?

Pokręciła głową.

- Nie mam. Jestem i byłam sama.

Objął ją nagle ramieniem i przycisnął do siebie.

- Co do narzeczonego - zniżył głos - to chyba wyobra-

zam sobie, jak to mogło być. Znaleźli ci go rodzice, a on ci się nie spodobał, tak?

Myśl, nakazała sobie w panice. Jak tu wybrnąć z kłopotu? Jak nie okłamywać Tyse'a więcej, niż to niestety konieczne?

- To znaczy... Prawie tak było. Zaręczyny miały charakter aranżowany. I rzeczywiście on nie nadawał się na mego męża.

Zajrzał jej w oczy.

- Ale co dalej? Nie powiesz nic więcej?

- Na razie wolałabym nie - westchnęła. - Może kiedyś.

- Wywinęła się z jego objęcia, nacisnęła klamkę drzwi auta i szybko wysiadła.

Od razu ruszyła do domu, nie oglądając się za siebie.

- Hola, skarbie - dogonił ją. - Przed czym ty tak uciekasz?

Przystanąła.

- Przed niczym. Po prostu jestem zmęczona i chciałabym się już położyć.

Oho. Ledwie to powiedziała, ujrzała w jego oczach, że chętnie położyłby się razem z nią.

- A jednak myślę, że uciekasz... - ujął ją za przegub. - Tylko nie mogę zgadnąć dlaczego? Wznosisz wokół siebie jakiś mur... Który mam wielką chęć zburzyć.

- Tyson, czego ty właściwie ode mnie chcesz?

- Ja? Może odrobiny zaufania... - zaczął. - I może jeszcze

- przymrużył oczy - może jeszcze jednego pocałunku?

- Ach, tego - wyrwał jej się histeryczny, mały śmieшек.

- Jeśli to jest coś, po czym powiesz mi już dobranoc... -

Wspięła się na palce i szybko cmoknęła go w usta.

Popełniła błąd.

Ponieważ Tyse nie zamierzał się zadowolić byle jakim cmoknięciem. Złapał ją za ramiona, przyciągnął do siebie i opadł na jej wargi swymi spragnionymi ustami.

Merri, zaskoczona, nie stawiała oporu. Płynęły chwile, ich pocałunek trwał, oddechy mieszały ze sobą. Tyse całym sobą przywarł do niej, przycisnął się do jej brzucha; jego męskość zaczęła nabrzmiwać.

O, odczuła to! I odpowiedziała ruchem, w którym było przyzwolenie i odzew. Jęknęła cichutko raz i drugi. Potarła piersiami o jego masywną klatkę.

Lecz te właśnie oznaki, to przyzwolenie otrzeźwiło jakby Tyse'a.

- Jezu - odstepił o pół kroku. - Co ja robię... Może lepiej naprawdę powiem ci już dobranoc?

- Jak to? - zająknęła się. - Teraz? Dobranoc?

Spuścił oczy.

- Cóż... Może tak. Zresztą - spojrzał na nią - jutro mamy przecież polecieć do Austin. Pamiętasz, gubernator...

Powiedziawszy to, odwrócił się, podszedł do swego pikaupa, wsiadł i włączył silnik. Po chwili kołował już ku głównej ulicy.

A niech to... Patrzyła za nim, jak odjeżdża.

Ale właściwie cóż, sama jest sobie winna!

Bo czegoż to się spodziewała po Tysonie? Wielu naraz sprzecznych rzeczy. Że da jej spokój i że będzie ją adorował. Że pozostaną przyjaciółmi, nie przerywając flirtu. I tak dalej.

- Ależ ze mnie idiotka - powiedziała cicho. - Co za idiotka.

Tyson prowadził auto półoszołomiony. Tętniło w nim nieugaszone pożądanie i równocześnie niezadowolienie, że nie umiał się powściągnąć.

Że nie potrafi być dla Merri tylko przyjacielem.

No trudno, ale skoro nie umie, to nie umie. Po co miałby udawać sam przed sobą; przecież pożąda tej dziewczyny! Pragnie jej od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył! I zapewne zrobi wszystko, by mieć ją w końcu w łóżku.

Zajechał na swoje ranczo na pełnym gazie. Przed domem gwałtownie zahamował. Wyłączył silnik, ale nie wysiadał z wozu. Zastanawiał się, co ma zrobić dalej.

Nie, nie ma sensu kłaść się spać. Wiedział, że sen długo do niego nie przyjdzie. Wobec tego co...?

Zdecydował się zajrzeć do stajni. Często, dla uspokojenia, szedł właśnie do zwierząt. Dobrze nastrajały go zwłaszcza zagrody żrebaków. Młodość życia; w tym było coś pocieszającego. Młodość bywa taka ufna; o nic nie podejrzewa złego świata.

Jeśli zaś wzruszały go dzieci, którymi opiekował się w fundacji, to przecież z podobnych powodów. Dzieci są zawsze ufne i proste. Tyse chciałby, żeby w każdym człowieku na zawsze było coś z dziecka, coś spontanicznego, oczywistego, niepokrętnego.

Powiedział Merri, że pragnie od niej odrobiny zaufania... Ale to jeszcze nie wszystko. Prawda *jest* taka, że on sam także chciałby móc jej ufać. Od dawna marzył o poznaniu kogoś, z kim mógłby być do końca szczerzy, przed kim mógłby się otworzyć.

Z ciotką Jewel byli oczywiście blisko, jednak nie całkiem

blisko. Nie wiedziała o nim mnóstwa rzeczy, nie znała jego sekretów, zwłaszcza tych bolesnych.

Na przykład nie wiedziała, jak ciężko przeżył rozstania z dwiema kobietami w swym życiu. Były to rozstania, które dosłownie zmiażdżyły go. Czuł się po nich do cna rozczarowany, zdradzony, unicestwiony.

Co do Merri - intuicja podpowiadała mu, że jeszcze nie może jej całkowicie ufać. Jednak serce i ciało skłaniały go do dania jej szansy.

Oby i ona jemu zaufała. Bo może jej rezerwa wynika z nadmiaru ostrożności? W takim razie, w jaki sposób ją do siebie przekonać?

Tyś nabrał w płuca dużo powietrza, pachnącego jaśminową nocą. Zdawał sobie sprawę z tego, że wszystkie te myśli nie uspokajają go i nie pomogą mu zasnąć.

Ale... Cóż tam. Warte są przecież każdej ewentualnej bezsennej minuty. Na pewno warte.

Ruszył ku stajniom dla źrebaków.

Ufał, że bliskość ładnych młodych koników rzeczywiście go uspokoi.

- Kiedy mówiłeś, że polecimy do Austin, nie wiedziałam, że ty sam masz być pilotem. - Merri poprawiła się w swoim fotelu pasażera, dopinając pas bezpieczeństwa.

- Czy to ci jakoś nie daje spokoju? - Ty włożył hełmofon i pomyślał, że prawdopodobnie wolałby nie dać jej spokoju w całkiem inny sposób.

- Nie, nie, wszystko w porządku - odpowiedziała. - Ja jestem tylko zaskoczona, ale raczej na plus.

- Kiedy poznasz mnie trochę bliżej, odkryjesz, że wiele rzeczy lubię robić sam... Oczywiście nie wszystko mogę - uśmiechnął się. - Poprowadzę samolot, ale już nie transatlantyk, nie prowadzę nawet własnych interesów, zostawiając tę robotę personelowi.

Są jednak sprawy, których nikomu by nie odstąpił. Na przykład w tej chwili chciałby osobiście powymyślać wszystkie spinki z włosów Merri i sam poigrać z jej blond splotami; pragnąłby zanurzyć w nie twarz i zachłysnąć się aromatem tej kobiety.

O tak, bo Merri tak pięknie pachniała. Ile razy był blisko niej, czuł jakieś aromaty lawendy i wanilii. A kiedy ogarniały go te zapachy, przeganiały zeń wszystkie myśli. Pozostawały mu tylko zmysły. Odbywało się coś w rodzaju lobotomii, jak to sobie po cichu określał.

-I nie wiedziałam też - Merri przerwała tok jego refleksji - że mamy nocować w Austin. Zaskoczyłeś mnie telefonem w tej sprawie.

- Wiesz, bal może się skończyć dosyć późno. Po co mamy się potem spieszyć? A poza tym będą jakieś drinki. Nie chciałbym siadać za sterami po alkoholu. - Tyse zaczął włączać różne wskaźniki. - Jeden zwłaszcza toast mnie interesuje: na cześć nowego dyrektora naszej fundacji.

- Kto to taki? - zapytała Merri.

- Jak to kto: ty!

- Ja? - uniosła brwi tak wysoko, że aż obsunęły jej się okulary na nosie.

Tyse zachichotał.

- Oczywiście, że ty. Nikt bardziej nie nadaje się na to stanowisko.

- Ależ ja...

Tyson wzruszył ramionami i zajął się przygotowaniami do startu.

Piękny ten jego samolocik, rozejrzała się Merri. Mały odrzutowiec, rodzaj latającej limuzyny. I sam pilot też prezentuje się imponująco, w tym twarzowym hełmofonie, pośród dziesiątków wskaźników.

No tak. Ale co z fundacją? Jako jej dyrektorka, musiałaby mieć niewątpliwie kontakty z mediami. A to jest coś, czego musi przecież na razie unikać.

Wzięła głębszy oddech. Wymyśl coś, powiedziała sobie. I pospiesz się.

- Tyse, słuchaj, ja jednak nie mogę być dyrektorką twojej fundacji.

- Dlaczego nie? - spojrzał na nią.

- To dla mnie zaszczyt, ale chyba jeszcze nie zasłużyłam...

- urwała modląc się, by nie zabrakło jej dalszych argumentów. - Na razie wolałabym działać jakoś za kulisami. Może za parę miesięcy poczuję się pewniejsza...

- Dlaczego za parę miesięcy? - Ty potrząsnął głową - Wszystko, czego potrzeba, już umiesz. Przede wszystkim umiesz być czarująca; takich rzeczy nie można się nauczyć. Każdego darczyńcę okręcisz sobie wokół palca.

Merri poprawiła okulary na nosie.

- Ale to jest twoja fundacja, Tyse. Dzięki tobie rozwinęła skrzydła. Włożyłeś w nią swoje pieniądze, poświęcasz jej swój czas. Ma ona twoją twarz, że tak powiem. I to jest jej

dobra rekomendacja. A ja... - poruszyła brwiami. - Mnie na razie w Teksasie prawie nie znają. Pozwól, żeby wpiery poznali; współpracujemy jakiś czas, zanim ewentualnie przejmę twoje obowiązki.

- Cóż... - zastanowił się. - Może i masz rację. Jak zwykle zresztą. Ale przyrzeknij mi, że będziesz mnie mocno wspierała. Zwłaszcza tam wszędzie, gdzie potrzebne są kontakty twarzą w twarz.

Merri odetchnęła z ulgą.

- Oczywiście, będę wspierała. Masz na to moje słowo.

Tyse skinął głową; w milczeniu dopiął hełmofon. Potem połączył się przez radio z wieżą kontrolną. Włączył silniki i zaczął kołować na pas startowy. Po minucie odrzutowiec oderwał się od ziemi.

Merri przymknęła oczy i rozluźniła się w swym fotelu. Wyglądało na to, że jak na razie udało jej się uniknąć kolejnej strzały losu. „Strzały losu”, uśmiechnęła się, co za metafora... Ale co będzie dziś wieczorem, gdy otoczą ją fotoreporterzy?

No właśnie, dzisiejszy wieczór...

- A właściwie gdzie spędzimy noc? - zapytała ostrożnie, gdy Tyse, ustabilizowawszy maszynę w powietrzu, zdjął hełmofon.

Spojrzał na nią.

- Gdzie? W Hiltonie, tam gdzie będzie bal. Stale rezerwuję w Austin apartament, dla moich przedstawicieli i stanowych lobbystów. Ale dziś sami go zajmujemy.

- Aha. Mam nadzieję, że dostanę osobny pokój. Bo chyba nie zamierzasz złożyć mi jakiejś propozycji nie do odrzucenia. ...

Tyson zaśmiał się.

- Nie będę cię molestował, nie bój się. - Rzeczywiście nie zamierzał jej w żaden sposób naciskać. Pragnął Merri, z dnia na dzień bardziej, ale przecież nie miał natury łowcy niewolników.

Niemniej gotów był stworzyć sytuację, w której do zbliżenia mogło dojść. Pod warunkiem, że wszystko odbędzie się w sposób naturalny, to jest za zgodą obu stron.

Kopciuszek na odwórkę, pomyślała Merri, patrząc na siebie w lustrze. Suknia, którą na dzisiejszy bal zapakowała jej Janie (ciekawe, czy przez pomyłkę), okazała się nie tą suknią... Co za katastrofa! Zamiast zniewalającej kreacji, wybranej wczoraj w butik, Merri widziała na sobie źle dopasowany worek, w jakieś bezsensowne ciapki, z przydługimi rękawami i z dziwnym ogonem z tyłu. Co za historia, przypadek czy działanie rozmyślne?

- Komedia - wyszeptła, obracając się wokół osi.

Komedia? Ale raczej niewesoła.

Chociaż właściwie..., Merri zawahała się. Może będzie z tego jakiś pożytek? Bo brzydota tego stroju na pewno ostudzi zapały Tyse'a. A to by mogło być pożądane, jako iż ostatnimi czasy jej szef coraz łakomiej spoglądał na nią. Zbyt łakomie.

Merri przysiadła na fotelu. Z tego, co dotąd słyszała, Tyson był dość nietuzinkowym mężczyzną... Miał na swym koncie wiele podbojów, lecz podobno dążył zawsze do stałego związku. Ba, ponoć wręcz szukał żony. I tylko wciąż nie mógł sobie znaleźć odpowiedniej kandydatki.

Stanowiło to dobrą i złą okoliczność. Dobrą, bo świadczyło, że Tyse jest uczciwym człowiekiem, który nie traktuje partnerek jak rzeczy. Złą, bo kandydatką na żonę Steele'a sama Merri na pewno się nie czuła. Przede wszystkim nie była z nim szczerą, co zapewne wkrótce wyjdzie na jaw. A kiedy wyjdzie, zacznie się poważna awantura i będą musieli się rozstać.

Westchnęła, zatrzasnąjąc w torebce swój przybornik kosmetyczny. Po chwili wyjęła go: przecież nie zamierza się w najbliższych godzinach upiększać. Po co, skoro i tak już weszła w rolę „Antykopcieszka”.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Merri, jesteś gotowa? - zapytał Tyse.

Cóż, była niby gotowa. Tylko gotowa do czego?

- Już, już - odpowiedziała. - Wejdz, proszę bardzo.

On stanął na progu i obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

- Przyniosłem ci... - zaczął i nie dokończył.

Zerknęła na niego. O ile ona zapowiadała się „antybajecznie”, o tyle on wyglądał właśnie bajecznie. Czarny smoking, który kupił sobie wczoraj, leżał na nim jak ulał. Śnieżna koszula i błękitna muszka podkreślały jego męski czar.

Spuściła oczy, zaambarasowana. Wyobraziła sobie, co on widzi, patrząc na nią. I prawie współczuła mu. Co prawda spróbowała sobie zaraz wytłumaczyć, że jej ubranie jest pożytecznym kamuflażem, ochraniającym ją zarówno przed szefem, jak przed ewentualnymi paparazzimi, którzy mogliby się zabłąkać na ten bal gubernatora...

Tyson poruszył się.

- Pięknie wyglądasz - powiedział głucho.
- Słucham?
- To znaczy... Ale może byś zdjęła te okulary? Nie będą ci potrzebne na imprezie. Masz takie piękne oczy. Daj się namówić, Merri.
- Och - obejrzała się w stronę lustra.
- No, zdejmij - poprosił miękko.
- Dobrze. - Sięgnęła do swych fałszywych szkieł i schowała je do torebki.
- A ja ci przyniosłem... - zrobił krok w jej stronę. - O, to - podał jej trzymany dotąd za plecami mały bukietek.
- Jaki śliczny - uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Dziękuję, przypnę go do tej brzydkiej sukni.
- Dlaczego brzydkiej? - Tyson zrobił pocieszycielską minę.
- Nie udawaj. Za to ty wyglądasz dziś wspaniale. Moje gratulacje.
- Naprawdę? - spojrzał po sobie. I zaraz pomyślał, że mniejsza z tym, w co Merri jest ubrana, ważniejsze, co ta dziewczyna ma pod spodem. A ma pod spodem przepiękną figurę i w ogóle jest piękna. Ach, ujrzyć ją kiedyś nago... Kiedyż wreszcie będą mogli stanąć naprzeciw siebie tak, jak ich Pan Bóg stworzył?

Niestety, na pewno nie dojdzie do tego dzisiejszej nocy. Czuł, że na takie rzeczy jest o wiele za wcześnie. Ale kiedyś odpowiednia po temu chwila chyba nadejdzie...

Merri przypięła sobie bukietek do gorsu.

- No - powiedziała. - Teraz możemy już iść.

Podał jej ramię i ruszyli w stronę hallu. Zjechali windą na dół i wmieszali się w tłum gości.

Merri, przytulona do Tysona, starając się zniknąć w jego cieniu, miała nadzieję, że uda jej się dziś nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi.

I na razie w pełni jej się to udawało. Jeśli ktokolwiek witał się ze Steele'em, jej samej zaledwie kiwano głową, traktując ją niczym nieważny dodatek do jego osoby.

I tylko gubernator potraktował ją inaczej. Najpierw powiedział coś miłego Tyse'owi, a potem obrócił się ku niej, ujmując jej rękę w swoje obie dłonie.

- Cóż za czarujące stworzenie - spojrzał na Tyse'a. - Pani chyba nie jest Teksanka, młoda damo. Nie zapomniabym tak miłej twarzy, a pochlebiam sobie, że znam wszystkich swych wyborców.

Merri spłoniła się nieco, zwłaszcza że padły też komplementy pod adresem jej stroju. Pomyślała, że politycy to naprawdę urodzeni łgarze. Mówią swej klienteli to, co jak sądzą chciałyby ona usłyszeć. Cóż, jednak z tego właśnie żyją, głównie z pięknych słówek i z obietnic, z których ich potem nikt nie rozlicza.

Po trzech godzinach trwania imprezy zaczęło się robić nudnawo. Nie było końca przemówieniom, oklaskom, odznaczeniom, podziękowaniom. W międzyczasie podano iście teksańską kolację, z grubymi na dwa palce befsztykami i z furą kartofli. Pewna otyła jejmość zagadywała co chwila do Merri, informując ją dokładnie o swych wysiłkach zmierzających do objęcia ochroną konserwatorską starych wież wiertniczych na lokalnych polach naftowych.

Po kolacji zjawiła się ekipa fotografów, mająca wykonać zbiorowe zdjęcie gości.

- Idź sam - poprosiła Merri Tysona. - Ja tu poczekam na ciebie.

Ujął jej dłoń.

- Ale dlaczego? Chodź ze mną.

Pokręciła głową i zmusiła się do uśmiechu,

- Nie. Mówiłam ci już: to jest na razie tylko twoje przedsięwzięcie i twoja zasługa, ta fundacja... Pozwól, że jeszcze jakiś czas będę się trzymała w cieniu, czy z boku.

Jakkolwiek niechętnie, Tyson zgodził się.

- No dobrze - powiedział. - Ale nigdzie się stąd nie ruszaj. Ja tu za chwilę wrócę.

Była pewna, że wróci za dobrą godzinę, bo akurat wiedziała coś o tym, jak pracują fotografowie, ile tu ustawiania, poprawiania, zmian oświetlenia i tak dalej.

Tymczasem Tyse był z powrotem już po paru minutach.

- No, po wszystkim - wykonał gest ręką.

- Na pewno? - uniosła brwi.

- Na pewno. Jedno pstryknięcie i po wszystkim. A teraz... chyba zatańczymy Merri, co?

Rozejrzała się. Na parkiecie kręciło się już trochę par. A więc nie byłiby tam zbyt eksponowani.

- No dobrze - podniosła się z krzesła. - O ile nie zaplączę się w tę moją suknię.

Obracając się w takt wolnej melodii uznała, że właściwie jest tu całkiem przyjemnie. Trzyma ją ramionach piękny mężczyzna, orkiestra nie hałasuje zbyt, sala jest pomysłowo oświetlona i nawet ozdobiona roślinnością.

Tyson mocno ją do siebie przyciskał. Czuła, że chyba mu

z nią dobrze. Położyła Tyse'owi głowę na ramieniu i pozwoliła swobodnie płynąć myślom.

Ledwie się odprężyła, na parkiecie pojawił się ktoś z kamerą. Zaczął robić zdjęcia tańczącym. Merri jęknęła, próbując odciągnąć Tysona w ciemniejszy kąt.

- Nie lubię być fotografowana - szepnęła.

Kończyli walca poza zasięgiem reflektorów. Jednocześnie mrok dziwnie pobudził Tysona. Zaczął gładzić plecy i biodra Merri.

- Co to - zamruczał. - Jesteś dziś bez stanika i majteczek? Czy mi się zdaje?

- Ano bez - przyznała. - Suknia jest tak ciasna, że bielizna odznaczałaby się pod nią, więc jej nie włożyłam.

- Ach ty! - zachichotał Ty. I nagle uznał, iż brzydki strój Merri jest najpiękniejszy w świecie. Skoro ofiarowuje mu, czy obiecuje, same cuda.

- Moglibyśmy uznać, że bal się skończył, co? - zająrzył jej z bliska w oczy. - Chodźmy już do nas na górę... No chodź, Merri - pociągnął ją **za rękę**. - **Chodź...**

ROZDZIAŁ ÓSMY

Torował jej drogę w tłumie, prowadząc do windy. Merri nie opierała się; nie miała nic przeciwko temu, żeby już opuścić ten bal.

W hallu windowym było sporo takich jak oni ucieknierów. Tyse rozejrzał się niezadowolony. Nie miał ochoty czekać na swoją kolejkę do windy.

Poprowadził Merri dalej, korytarzem wiodącym w stronę pomieszczeń gospodarczych. Wiedział, że tam na końcu dostępna jest winda towarowa. Zdarzyło mu się użyć jej parokrotnie, gdy transportował do swych apartamentów pewne elementy wyposażenia.

Winda na szczęście czekała na dole.

Wsiadli i od razu ruszyli.

Tyse cały czas nie puszczał ręki Merri. Przez głowę przelatywały mu różne myśli. Wiedział, że nie powinien wywierać na tę dziewczynę żadnego nacisku. Jednak bardzo miał ochotę zrobić coś, żeby się do siebie zbliżyli.

- Nie miałaś zamiaru zostawać dłużej, prawda? - zagadnął ją, gdy winda mijała pierwsze piętro.

- Nie miałam - zgodziła się. - Bal był raczej taki sobie... Ale z tobą tańczyło się wspaniale - uśmiechnęła się. - Świet-

ny z ciebie tancerz, Tysonie Steele. Objawiłeś mi swój kolejny talent.

Od razu ją pocałował za te słowa. Przyciągnął ją do siebie, nie napotykając oporu. Stopili się z sobą, mieszając oddechy, smakując jedno drugie, zaglądając sobie z bliska w oczy.

Kiedy zaczął gładzić jej biodra, uda, potem piersi, jęknęła. Widać było, że czekała na takie pieszczoty. Niestety, winda zatrzymała się; dojechali na miejsce. Drzwi zaczęły się otwierać.

Tyson szybko nacisnął guzik zamykający drzwi. Drugim przyciskiem dał sygnał, że winda jest zajęta. Nie mógł sobie pozwolić na przerwanie tego rozkosznego sam na sam. Nie teraz!

- Tyse - szepnęła, odchylając nieco głowę. - A co będzie, jak ktoś nas jednak ściągnie?

- Nikt nie ściągnie - uśmiechnął się. - Panuję nad tym urządzeniem. Zaufaj mi.

Wrócili do pocałunków i pieszczot. W windzie zaczęło robić się gorąco. Merri najchętniej zrzuciłaby tę swoją za ciasną suknię. Rozpięłaby też coś na Tysonie. Ale nie wiedziała, od czego zacząć, od koszuli czy od spodni?

Po chwili już wiedziała; Tyson sam zdarł z siebie muszkę, urywając przy okazji jakieś guziczki. Rozchylił się śnieżny gors i ukazał się piękny, męski tors. Merri polizała Tysona w pierś, spoconą, słoną i poczuła zawrót głowy, takie to było dobre. Tak, tak, to było TO! Czegoś takiego od dawna pragnęła.

On zsunął obie ręce wzdłuż jej bioder aż na sam dół sukni.

Przykucnął i wstając, zaczął unosić tę sukienkę. Merri owiało świeże powietrze i było jej z tym bardzo przyjemnie.

- Muszę cię zaraz dotknąć - zamruczał Ty. - Muszę dotknąć. Muszę...

Znów przykucnął i zaczął całować jej uda. Ona je rozsunęła, a wtedy on od razu, korzystając, że jest bez bielizny, zawędrował językiem do środka wszystkich środków. Aż Merri zatchnęła się, łapiąc go za głowę.

- Pomału - szepnęła. - Ostrożnie.

Doprowadził ją na skraj rozkoszy, wtedy ścisnęła uda, żądając, aby wstał i wszedł w nią i żeby byli razem.

Tyson, cały w ogniach, miał na to straszną chęć, lecz jednak powstrzymał się. Przrzekał przecież Merri, że dziś tego nie zrobią... A zresztą w ogóle - co nagle, to po diabłu. Z drugiej strony - jak miałyby zostawić rozgrzaną kobietę, porzuconą w pół drogi...?

Uniósł się, przyciskając do siebie Merri i wsuwając palce tam, gdzie przed chwilą gościł jego język.

- Chcę, żebyś to miała - szepnął jej do ucha. - Dziś tylko ty. Ja się dziś nie liczę.

- Ale dlaczego... - urwała, bo on już prowadził ją ścieżynką na ten szczyt, z którego miała skoczyć w przepaść.

Ileś sekund balansowała, potem skoczyła.

Przez chwilę szybowała, nieważka, czując w sobie tęczę—jące gwiazdy, kwiaty, światy. Potem cała osunęła się w ramiona Tyse'a, łapiąc go za szyję i wielokrotnie wypowiadając jego imię.

Kiedy przysła do siebie i stanęła pewniej na nogach, zająrzała Tysonowi w oczy.

- Nie wierzę, że zrobiliśmy to tutaj, w windzie.
- Dlaczego nie? - unióś jedną brew. - Każde miejsce jest dobre, gdy wola boża przycisnie.

Zaśmiała się.

- Wola boża...

Pokiwał głową i pocałował ją w czoło.

- Swoją drogą nie wiedziałem - nacisnął guzik, otwierający drzwi windy - że masz w sobie taki potencjał.

- Co za potencjał?

- Że taka z ciebie kusicielka. Po wierzchu - skromna słoń biurowa. A w środku - sam seks. Ale taka właśnie mi się podoba. Och, jak mi się podoba, Merri!

- No wiesz - zachnęła się. - Nie rób ze mnie demona. Co za kusicielka...

- Chodź, demonie - złapał ją w pól, a potem schylił się i wziął ją na ręce. Wyszedł z windy i ponióś ją skrótem w stronę apartamentu.

Przed drzwiami postawił Merri, wyjął swój klucz elektroniczny i wprowadził go w czytnik.

- Proszę - wykonał grzeczny gest. - Rozgość się. I radziłbym ci się od razu położyć, bo jutro rano bardzo wcześnie wstajemy.

- Jak to? - podniosła zdziwione oczy. - Więc mamy spać osobno?

- Osobno - skinął głową - tak, jak obiecywałem ci to jeszcze w domu. Nie pamiętasz? Obiecałem, że nie zaciągnę cię do łóżka.

Westchnęła.

- Pamiętam, pamiętam... No, ale czy to znaczy, że teraz

już mnie nie chcesz? Że sam nie chcesz?... No wiesz... -
Czuła, że się płacze w słowach, jednak coś jej przeszkadzało
nazwać wyraźniej rzecz po imieniu.

- Ależ chcę, bardzo chcę - wziął ją za rękę i poprowadził
do jej sypialni. - Tylko że może ja nie lubię takich rzeczy ro-
bić jednorazowo i na chybcika. Wolę się z tobą spotykać jesz-
cze wiele, wiele razy.

- A ja nie odmawiam - przysiadła na łóżku. - Jednak
i dziś mógłbyś ze mną zostać. Tyse, no proszę...

Przysiadł obok niej i mocno ją pocałował.

- Zaufaj mi - powiedział. - Tak jak robimy, jest lepiej. Na-
prawdę - zajął jej w oczy.

Wstał i ruszył w stronę drzwi. Wychodząc, już się nie
obejrzał. Wiedział, że czeka go w pojedynkę raczej niełatwa
noc, ale trudno. Bo jak zaśnie, z tym nieugaszonym ogniem
w całym ciele...?

Tak, tak, ta noc mogła być bardzo trudna.

Merri już od paru dni czekała na jakiś dalszy ciąg tamtego
spotkania w Austin, a bodaj na rozmowę o tym, co się stało.

Niestety, zaraz w poranek po balu Tyson miał ważny te-
lefon, od samego - bagatela - prezydenta Stanów Zjedno-
czonych. Biały Dom wzywał go na konferencję specjalistów
branży naftowej. Nie odmawia się Prezydentowi Stanów, Ty-
se polecił więc do Waszyngtonu.

Merri wypadło samej działać w fundacji. I miała mnó-
stwo czasu na przetrwanie, chwila po chwili, wszystkiego,
co przeżyła tamtej magicznej nocy.

Odchyliła się teraz w swym fotelu komputerowym i sięg-

nęła po kubek z herbatą. Przymknęła oczy i nagłe dotarło do niej, że chyba jest stracona... Zakochała się w tym mężczyźnie, oto co się stało. Jest stracona również dlatego, że przecież nie ma żadnej przyszłości przed nimi obojgiem jako parą.

No tak. Bo gdyby mieli zostać ze sobą na dłużej, musieliby sobie zaufać, grać w otwarte karty. Tymczasem ona okłamuje Tysona, a on jej tego nigdy nie wybaczy.

Otworzyła oczy i westchnęła.

Napiła się z kubka herbaty i obróciła wraz ze swym fotelem w stronę okna. Zaczęła patrzeć na budynki, drzewa i chmury, ale nie widziała ich.

Jaka szkoda, przebiegło jej przez głowę, że nie mogła mu od razu powiedzieć całej prawdy. Ale żeby ją powiedzieć, musiałaby być pewniejsza tego, co on do niej czuje.

Dzwonił do niej każdego dnia rano, ale nie mówili o sprawach osobistych. Tyse pytał wyłącznie o fundację i o stan przygotowań do pokazu mody oraz do pikniku dziękczynnego dla donatorów.

Obudziła się z zamyślenia, słysząc, że porusza się klamka u drzwi. Do jej biura weszła niezapowiedziana Jewel, niosąca pod pachą jakieś notesy i katalogi. Pani Adams miała dziś na sobie wiosenną suknię, ozdobioną wzorem biało-czerwonych fuksji.

- Witaj - złożyła swe naręcze na biurku Merri. - Ależ dziś upał na dworze! I to ma być niby wiosna.

- Myślałam, że tylko ja to tak odbieram. Rzeczywiście w Teksasie jest jak w jakimś kraju tropikalnym.

- No właśnie, złotko, no właśnie - Jewel powachlowała się

obiema dłońmi. - Popatrz - sięgnęła po jeden z katalogów.
- Przyniosłam próbki obrusów na ten piknik w ogrodzie. Ilu gości zapowiedziało swe przybycie?

- Zaraz, niech policzę - Merri zajrzała do swego komputera. - To na ogół bardzo zajęci ludzie, ale wszyscy piszą, że dla Tyse'a i jego sierot nie mogą nie znaleźć czasu... No tak, razem mamy czterdzieści osób. Deklarują przylot rano i odjazd po imprezie, po południu.

- Aha, to świetnie - Jewel skinęła w rozstąpieniu głowy.
- Jak odfajkujemy już tę imprezę, będziemy miały wolniejszą głowę dla naszych matek z córkami.

- Nad tym też pracowałam - Merri zmieniła plik w komputerze. - Pomagają mi panie z klubu działkowego, organizujące przyjęcie i nabór kandydatek do pokazu. Mam już również propozycję całego scenariusza. Wszystko idzie według planu.

- Dobrze - Jewel przysiadła na wolnym krześle. - Słyszałam, że jest więcej kandydatek niż miejsc.

- Naprawdę? Tego nie policzyłam. No patrz, a ja chciałam jeszcze doprosić ileś dziewczynek z rancza Nuevo Dias. To byłaby dla nich wielka atrakcja, móc znaleźć się na wybiegu.

Jewel uniosła brwi, zaskoczona.

- Te sieroty? Ale czekaj, kto miałby im towarzyszyć? To miał być pokaz córek z matkami... Choć sama idea zrobienia przyjemności tym biedactwom jest dobra. - Jewel powoli gotniały nagle oczy.

- Może znajdują się jakiś samotne panie, gotowe pomatkować dziewczynkom?... Zresztą ja sama mogę się paroma zająć.

Jewel pokiwała głową.

- Jakaś ty kochana - pochyliła się naprzód, ujmując dłoń Merri. - Wcale się nie dziwię, że Tyson uważa cię za kogoś wyjątkowego.

Wyjątkowego? Dlaczego wyjątkowego? Merri chciałyby się dowiedzieć w tej sprawie czegoś więcej, ale Jewel już sięgała po swe notesy.

- Słuchaj - powiedziała. - Trzeba też skomponować menu na ten piknik dla donatorów, zorganizować stoliki i zastawę... Chociaż - podniosła głowę - tu może nam coś pomóc personel na ranchu Tysona.

Tyson i jego rancho. Oczywiście, to u niego ma się przecież odbyć ten piknik. Steele lubi samowystarczalność... Całe szczęście, że nie wszystko potrafi zrobić zupełnie sam.

Są na świecie rzeczy, których nie da się zrobić w pojedynkę.

Merri liczyła, że już wkrótce podejmą z Tyse'em coś, co niedawno zaczęli we dwoje. We dwoje zaczęli, ale nie we dwoje dokończyli.

Masz u mnie dług, Tyson, pomyślała. Albo raczej ja u ciebie.

- Hej, skarbie, nie spałaś jeszcze? - Merri usłyszała Tyse'a w słuchawce, po którą sięgnęła z łóżka. Mijał dziesiąty dzień, od kiedy się nie widzieli i Tyson po raz pierwszy zadzwonił do niej do domu.

- Nie, nie spałam. - Prawda była taka, że ostatnio w ogóle bardzo mało sypiała. Zbyt była napięta, za dużo myślała o nich obojgu, żeby dobrze wypoczywać w nocy. - A w ogóle to skąd dzwonicz? - zapytała. - Bo ledwie cię słyszę?

- Nasza konferencja waszyngtońska, wyobraź sobie, przeniosła się na Daleki Wschód. Przepraszam, że cię wcześniej o tym nie zawiadomiłem.

- Daleki Wschód? - Uniosła się na poduszkach. - Jezus, Maria! To kiedy stamtąd wrócisz?

- Myślałem, że pojutrze, ale chyba nic z tego. Nawet nie wiem, czy zdążę na ten nasz piknik dla donatorów... W razie czego dasz sobie radę sama?

Zrobiła zawiedzioną minę, której on na szczęście nie mógł zobaczyć.

- Tak, chyba tak - westchnęła. - Ale szkoda. Może ci się jednak uda...? Byłam już na twoim ranczu - ciągnęła dalej - wiesz, w sprawie przygotowań. Wszystko jest chyba dopięte. Nawiasem mówiąc, ładna ta twoja posiadłość.

- Tak myślisz? I co tam widziałaś?

- Na razie niewiele. Wpadłam do twego biura, obejrzałam też taras i ogród, gdzie ma być to przyjęcie.

Pomyślała, że chętnie zajrzałaby także do sypialni, ale wolała z tym poczekać do powrotu Tysona.

- Tęsknisz za mną, Merri? - dotarł do niej cichy głos.

Pokiwała głową.

- Uhm... A wiesz - dodała szybko - zauważyłam na twoim biurku takie dziwne lustro, bardzo stare. Ty zbierasz starocie, Tyson?

- Niespecjalnie... - zawahał się. - A to lustro mam od pewnej Cyganki z Nowego Orleanu. Upierała się, że ono jest magiczne.

Magiczne? Co on ma na myśli? Czyżby jej trzeźwy Tyson wierzył jednak w czary?

- Nie wierzę w czary - odpowiedział, jakby czytał w jej głowie. - Tak naprawdę to w ogóle nie jest lusterko, tylko jakiś oprawiony kawałek szkła.

- Jak to szkła? - zdziwiła się. - To jest na pewno lusterko, choć jakieś takie przymglone. Sama się w nim przegłędałam.

Tyson nic nie odrzekł.

Kiedy odezwał się po dłuższej chwili, postarał się zmienić temat.

- Słuchaj Merri, Jewel mówiła mi, że załatwiła już do dalszej renowacji swego domku hydraulika i elektryków. Chciała też zamówić dekarza, ale ty się podobno sprzeciwiasz. Wolisz, żeby ci kapało na głowę?

- Skądże - wzruszyła ramionami. - Ale od tamtej nocy, kiedy tu byłeś, dach nie cieknie.

Wspomnienie owej nocy wywołało nagle rozkoszną gęśią skórkę na jej całym ciele.

- Nie cieknie, mówisz... A jednak, kiedy wrócę, będę musiał coś jeszcze poprawić.

Było kilka ważniejszych rzeczy, które powinien poprawić, pomyślała, na przykład w związku z ich spotkaniem w windzie. Wołała jednak nie mówić o tym przez telefon.

- Co do Jewel - odezwała się - to ja bym miała pewne pytanie. Ona twierdzi, że ty mnie uważasz za jakąś „specjalną osobę”...

- Za „specjalną”? Chyba raczej inną niż wszyscy.

- Dlaczego inną?

- Merri... - Tyson zawiesił głos. - Bo widzisz... Ale nie wiem, czy powinniśmy o tym mówić na taką odległość.

- Spróbujmy, Tyson, proszę cię.
- No dobrze. Więc uważam cię za kogoś całkiem wyjątkowego, wiedz to. Jesteś ładna, umiesz pracować i świetnie umiesz się kochać, jestem tego pewien. Takie połączenie cech i talentów zdarza się bardzo rzadko.

Gęsia skórka na jej ciele zniknęła, a na jej miejscu pojawiło się teraz coś płonącego, jakby rumieniec, na twarzy, brzuchu, piersiach, nawet plecach. Czuła też, że jej serce wali jak szalone i że chciałyby natychmiast całą sobą przyłgnąć do mężczyzny, z którym rozmawia.

- A przede wszystkim - zaczął znów Tyson - jesteś całkiem inna niż na przykład kobieta, z którą byłem kiedyś zaręczony. O tak skarbie, jesteś całkiem inna niż ona.

W jego głosie załamało się coś. Równocześnie w słuchawce zaczęło trzeszczeć i połączenie zostało przerwane.

Jednak Merri nie czuła się zawiedziona. O nie, wręcz przeciwnie. Bo oto usłyszała coś, na co podświadomie od dawna czekała.

Zrozumiała, że on jej całym sobą pragnie.

Dobry Boże, ona zaś przecież tak bardzo pragnęła jego!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Telefon znowu zadzwonił.

- Przepraszam, ale coś nam chyba przerwało - powiedział Tyson.

- Jak miło cię znowu słyszeć - uśmiechnęła się do słuchawki. - I teraz mamy jakby lepsze połączenie.

Chwilę oboje milczeli.

- Słuchaj - podjęła. - A ty nie powiedziałaś mi czegoś więcej o tej kobiecie? Dlaczegoście z sobą zerwali? Co ona ci takiego zrobiła?

Tyson odchrząknął.

- Ale to takie banalne - westchnął. - Na pewno chcesz to wiedzieć?

- Na pewno. Chciałabym cię lepiej poznać, Tyse.

- No dobrze. - Tyson po swojej stronie położył się na tapczanie hotelowym, rzucił z nóg buty i zgasił światło. Pomyślał, że i on bardzo chce poznać Merri... Dlaczego jednak nie mieliby zacząć od jego historii?

- Kiedy studiowałem, poznałem taką miss uniwerku - zaczął. - Zdawało mi się, że się w niejkocham... Młody byłem i głupi! - zaśmiał się gorzko. - Oboje na pewno

nie pasowaliśmy do siebie, dzisiaj to dobrze wiem. Ona pochodziła z wielkiego miasta na północnym wschodzie, a ja, wiesz, byłem prowincjuszem z Południa. Jednak wierzyłem w swoje możliwości. I nie bez powodu: właśnie wtedy udało mi się zarobić pierwszy milion, na nieruchomościach.

Odczekał chwilę.

- Nie wpadło mi do głowy, że jej może chodzić tylko o moje pieniądze. - Rozluźnił w ciemnościach krawat. - Będę się skracał: oświadczyłem jej się... a w miesiąc potem złapałem ją w łóżku z jakimś facetem. Tak, tak! A do tego jeszcze zdążyłem usłyszeć, o czym rozmawiali. O mnie! Ona śmiała się, że złapała frajera z forsą, z którego wyciśnie, ile się da, zaraz po rozwodzie.

- To wstrętna małpa! - wyrwało się Merri.

- No... Ja też tak myślę - Tyson zaczął się bawić pstryczkiem swojej lampy.

- Ale co, przejąłeś się wtedy tą historią?

- Przejąłem się - przyznał. - Byłem młody i głupi, mówiłem ci już.

- Tyson - odezwała się miękko. - Dobrze, żeś to z siebie wyrzucił. I nie myśl już więcej o tej idiotce, dobrze? Nie była warta twego splunięcia.

- Splunięcia? - głos Tysona jakby pojaśniał. - Takich określeń używają u nas na Południu. Witaj w klubie, Merri.

Zaśmiała się do słuchawki, a zrobiła to tak zmysłowo, że jego przeszył nagły dreszcz. I zanim zdążył pomyśleć, rzucił w ciemność:

- Merri, w czym w tej chwili jesteś?

- Jak to, w czym, w łóżku. Czytałam trochę i już miałam gasić światło.

- Ale ja pytam, co masz na sobie?

- Na sobie? Jakaś koszulkę. Bawełniana.

- Chciałbym być na miejscu tej koszulki - westchnął.

- Tyse... - uśmiechnęła się. - Byłoby to naprawdę bardzo przyjemne, ale...

- Ale co?

Wzruszyła ramionami.

- Nic. Szkoda, że jesteś tak daleko.

- Właśnie, szkoda. Na szczęście możemy dalej rozmawiać... Mów do mnie cały czas, dobrze? A więc jak z tą koszulką?

Spojrzała po sobie.

- Tyson, czy my jesteśmy w jakimś sekstelefonie?

Zaśmiał się cicho.

- A dlaczego nie? Takim prywatnym, tylko dla ciebie i dla mnie...

Zgasiła światło, wyciągając się wygodniej na materacu.

- Ale ja takich rzeczy nigdy jeszcze nie robiłam.

- Ja też nie. Zawsze jest jednak jakiś pierwszy raz... Pamiętasz tamto nasze spotkanie w windzie?

- Uhm...

- To dobrze. Zamknij oczy i wyobraź sobie, że znów jesteśmy ze sobą tak blisko.

Od razu przeniknęło ją gorąco tamtego wieczoru.

- Ale Tyse - szepnęła. - Czy to musi być winda? Tu w łóżku byłoby nam wygodniej.

Zachichotał.

- Świetnie. Więc zamykamy oczy i wyobraźnią przenosimy się oboje na twoje posłanie... I teraz ja się kładę tuż przy tobie... Oboje jesteśmy nadzy.

- Och, Tyson!

- Tak, Merri. A teraz się całujemy... Poślij palec i przesuw go po wargach. Czujesz mnie?

Oddychała coraz szybciej.

- Czuję - szepnęła. - Prawie cię czuję.

- Słyszę twój oddech i to mnie podnieca, wiesz? - Tyson w ciemnościach rozpiął koszulę i poluzował pasek od swych spodni.

- Czy mogłabym cię dotknąć... tam? - zapytała go, jednocześnie wsuwając sobie rękę między uda.

- Mogłabyś. I powinnaś. A ja będę pieścił twoje piersi, plecy i brzuch.

- Mmm - wygięła się jak pogłaskana kotka.

- To było miauknięcie? Uwielbiam cię, Merri.

- Ja ciebie też.

- Pora rozchylić nóżki, będę cię teraz całował jak w windzie, dobrze?

- Dobrze - szepnęła. - Ale tu w łóżku, nie w windzie.

- Jasne, jasne, tylko w łóżku... Ależ mi smakujesz, skarbie. Setki razy już o tobie marzyłem.

- Och! - wyrwało się z niej. - Setki? Tyson, chodź już do mnie, proszę cię.

- Taka jesteś gotowa? Wilgotna?

Pokiwała głową, oddychając coraz szybciej.

- No to już zróbmy to - powiedział cicho. - Razem... Bądź ze mną, kochana. Bądź.

Przez kilka następnych minut nic nie mówili, tylko wzdychali, pomrukiwali, szeleścili bez słów, wyobrażając sobie, że się kochają.

Kiedy dotarli na szczyt, Merri wydało się, że w pokoju zrobiło się nagle jasno. Mocniej zacisnęła powieki i wygięła się w łuk. Potem zapadła w potrójną ciemność.

Dopiero po chwili odszukała słuchawkę, zagubioną gdzieś w pościeli.

- Ty, kotku, jesteś tam? - zapytała.

- Przy tobie, kochana. W tobie, przy tobie, z tobą.

Jego głos brzmiał szorstko i zarazem bardzo ciepło. Odgadła, że tym razem chyba oboje przeżyli rozkosz... Tylko wielka szkoda, że w rzeczywistości są od siebie tak daleko. Ale wyobraźnia to potężna rzecz.

- Wracaj jak najszybciej - poprosiła go.

- Oczywiście - uśmiechnął się do słuchawki. - Mój dom jest tam, gdzie ty jesteś. Pa, skarbie. Śpij dobrze.

Oboje wiedzieli, że dziś będą spali rzeczywiście raczej dobrze.

Przyleciał do Stanów wyczerpany i w niezbyt dobrym nastroju. Nie powiodła się jego misja rządowa; negocjacje paliwowe na Dalekim Wschodzie zakończyły się fiaskiem. Poza tym dręczyło go oddalenie od Merri. Spotykali się przez telefon każdego wieczoru, ale przecież telefon nie zastąpi bliższego, rzeczywistego kontaktu.

Rozdrażniony dotarł do Stanville. Czuł się niewyspany i wymięty. Zajechał na swoje ranczo, gdzie postanowił wziąć prysznic i przebrać się w czyste rzeczy.

Kiedy już był gotowy, wskoczył do swej teksańskiej półciężarówki i popędził do miasteczka, aby się zobaczyć z tą, o której nieustannie marzył. Po kwadransie przekraczał próg fundacji.

- Merri...?

Nikt mu nie odpowiedział.

Rozejrzał się po biurze. Komputery były wyłączone. Ani żywego ducha.

Sięgnął po telefon, wyrzucając sobie, że dotąd nie załatwił Merri służbowej komórki. Wystukał numer Jewel.

- Gdzie ona do diabła jest! - burknął, bez żadnych wstępów.

- Też cię serdecznie witam, Tyson - odezwała się ciotka, niespeszona zachowaniem siostrzeńca. - Dzień dobry. I powiedz, kiedy wracasz w dalekie kraje, z powrotem, aby mógł z nich przybyć prawdziwy Tyse?

- Słucham? Aha, rozumiem - zamruczał. -I przepraszam. Ale wiesz, nie zastałem Merri w fundacji. Gdzie ona znikła? Czy jeszcze w ogóle u mnie pracuje?

Jewel zaśmiała się.

- Pracuje, pracuje. Jeśli nie ma jej w biurze, to pewnie przygotowuje dziewczynki w Nuevo Dias... Bo rozumiem, że nie zastałeś jej na ranczu? Jutro piknik, więc...

- No właśnie, nie zastałem - potwierdził niecierpliwie.

- Uspokój się, synu, i broń Boże nie napadaj na nią, jak się spotkacie... Wiesz - Jewel westchnęła - ona wydaje mi się jakaś blejsza i krucha w ostatnich dniach.

Krucha? Jego Merri? Też coś. Kobieta, którą zaczynał kochać, jest przecież silna, zmysłowa i...

Ale zaraz. Miłość... ?

Pojęcie to wypełniło nagłe mózg Tysona i przedostało się do jego serca.

Pożegnał się ze swą ciotką i zaczął myśleć o tym, że od dobrych paru dni napadają go dziwne wizje przyszłości. Przyszłości, w której są dzieci, zwierzęta domowe, no i sam dom, taki, do którego warto wracać, bo nigdy nie jest pusty.

Przyszłości, której ośrodkiem byłaby Merri.

Wysłuchał się w siebie i czekał, co teraz będzie. Czy w następstwie tego odezwie się w nim jakiś głos paniki, sprzeciwu? Nie, nic takiego się nie odbywało. Cały czas był spokojny i dziwnie pewny, że jego instynkt dokonał właściwego wyboru.

A mógł takiego wyboru dokonać, bo Tyson całym sobą ufał już Merri. Wiedział, że ta kobieta nigdy go nie zawiedzie ani nie zrani.

Odsunął telefon, wstał zza biurka i uśmiechnął się.

Spojrzał znów na telefon i pomyślał, że może to właśnie narzędzie, ten wynalazek pomógł mu zaufać Merri? Sposób, w jaki otworzyła się przed nim przez telefon tamtej nocy, gdy kochali się polegając tylko na swych głosach, oddaleni o tysiące kilometrów - ten sposób, ta szczerość, to oddanie zupełnie go przekonały.

I teraz już wiedział: mógłby z tą kobietą spędzić całe życie. Z tą kobietą chce spędzić całe życie

Nie czekał dłużej. Prawie biegiem ruszył na parking i wskoczył do swej półciężarówki. Po chwili był już na szosie prowadzącej do rancza Nuevo Dias.

Kiedy przybył na miejsce, od razu zaczął rozpytywać o pannę Davis. Wskazano mu za oknem łączkę, gdzie miała się bawić z młodszymi dziewczynkami.

Kiwnął głową, trzasnął drzwiami recepcji i już był na tej łączce.

Znalazł Merri za wzgórkami, pod wielkim kasztanem, obrotąncowywaną przez małe elfy; stała w ich kręgu niczym jakaś królowa, rozdawczyni łask. Ależ mu się wydała piękna! Miała na sobie niby zwykły strój, dżinsy i białą bluzkę, a jednak nosiła ten ubiór z dziwną godnością, prawie onieśmielającą.

Onieśmienie? pomyślał. Dlaczego? I wtedy zdał sobie sprawę, że aż tak pragnie Merri, bardzo, za bardzo, i że to go właśnie onieśmiela.

Ruszył ku rozbrykanym dziewczynkom. Stanął w pobliżu i nic nie mówił.

Merri podniosła głowę. Zauważyła go.

- Tyse, witaj! Wróciłeś nareszcie.

Skoczyło w nim serce. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Chodź - powiedział. - Prawdopodobnie powinniśmy ze sobą porozmawiać.

Wahała się przez moment, lecz zaraz zaczęła się żegnać z dziećmi.

Po chwili była już przy nim.

- No to chodźmy - poprawiła torebkę na ramieniu. - O czym będziemy rozmawiać?

Objął ją i obrócił **ku sobie**.

- Merri... Marzyłem o tobie. - Zajrzał jej w oczy, pochylił się i pocałował ją.

Oddała pocałunek, mięknąc w jego objęciach.

- Ale może nie powinniśmy... tutaj? - zaśmiała się, łapiąc oddech. - Nie na oczach dzieci... Lepiej jedźmy do domu. Chodź, zrobię ci obiad, chcesz?

- Jasne, że chcę - skinął głową, ujmując ją pod ramię. - W takim razie jedźmy do domu. O tak, najwyższa pora znaleźć się w domu... Więc chodźmy.

scandalous

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Naprawdę umiesz gotować? - zapytał, gdy pędzili autem w stronę jej domu, na skrót, bocznymi drogami.

- Na pewno umiem gotować jajka i wodę na herbatę - uśmiechnęła się Merri.

- Aha - zdjął z kierownicy jedną rękę, sięgając po jej dłoń.
- Wiesz co - puścił oko - na razie wystarczy, jeśli mnie samego przyrządzisz. Tego w tej chwili najbardziej potrzebuję.

Poruszyła brwiami niepewna, czy dobrze go zrozumiała.

- Tak, tak, chciałbym, żebyś mnie przyrządziła dla siebie - zerknął, podnosząc jej dłoń i całując po kolei każdy palec.

Samochód podskoczył na wyboju, a wtedy Merri uzmysłowiła sobie, że w dole brzucha jest już gotowa dla niego i że bardzo go pragnie.

Tyson obiema rękami złapał kierownicę.

- Wiem, że nie przepadasz za bocznymi drogami.

Zaśmiała się.

- Dziś przepadam - pochyliła się w jego stronę i pocałowała go w kark. - Dziś przepadam.

Mają więc za chwilę spotkać się w łóżku... Ale czy to naprawdę mądre? pomyślała. Mają zrobić coś ważnego w sytuacji, gdy ona wciąż jeszcze nie powiedziała mu całej prawdy.

Powiedz Tysonowi prawdę, zadzwięczały jej w głowie słowa Janie. A zadzwięczały tak głośno, że aż się wzdrygnęła.

Westchnęła i rozejrzała się... Bała się! Po prostu bała się zaryzykować. Bo co będzie, jeśli po swoim wyznaniu na zawsze utraci tego, którego zdążyła już pokochać?

Tymczasem dojechali na miejsce. Tyson zaparkował, wyciągnął kluczyki ze stacyjki, wysiadł z samochodu i obszedł go dookoła. Otworzył drzwi po stronie Merri.

- Chodź - pochylił się. - Muszę cię wziąć wreszcie w objęcia.

Wysiadła i przylgnęła do niego. Podała mu usta.

Jeden pocałunek, pomyślała. Co zaszkodzi jeden pocałunek, zanim mu powie...?

Pocałunek przedłużał się, sutki Merri stwardniały, za to wszystko inne zmiękło. Było jej rozkosznie słabo, poddawała się pieścizotom Tyse'a, który gładził ją po plecach, pośladkach i przyciskał do jej wzdórka swą wezbraną męskość.

- Klucz - wyszeptał jej do ucha. - Gdzie masz klucz?

Dopiero po chwili zrozumiała, o co mu chodzi. Sięgnęła do torebki, ale jakoś niezgrabnie, wciąż nieobudzona z transu, w który wprawiła ją bliskość tego mężczyzny.

Wyjął jej torebkę z rąk i sam znalazł klucz.

- Chodź - powiedział i ruszył w stronę drzwi.

Kiedy znaleźli się w środku, rzucili się na siebie od razu w przedpokoju. Jedno z drugiego zdzierało koszulę i spodnie.

- A więc dziś jesteś w bieliźnie? - zwrócił uwagę Tyse. - Nie tak jak tam na balu?

- Byłam w bieliźnie - uśmiechnęła się widząc, jak jego palce uwalniają ją właśnie od stanika i majteczek.

Wziął ją na ręce i poniósł do sypialni.

Upadli na jej łóżko i spleli się ze sobą.

- Czekaj - szepnęła - Musimy się niestety zabezpieczyć, bo ja...

- Co takiego? A! Rozumiem... - Wstał i przyniósł z przedpokoju swoje dzinsy. Z tylnej kieszeni wyjął portfel, a z niego opakowanie prezerwatyw, które odłożył na szafkę.

Wrócili do pieśczoł, pocałunków, westchnień, głodnych spojrzeń, urywanych słów. Czas przestał płynąć. Za oknami zapadał zmierzch, lecz oni tego nie zauważali.

- Tyse, Tyse - poprosiła zdyszana Merri. - Chodź już do mnie, dłużej nie wytrzymam. Bądź już we mnie, no, proszę.

Ramieniem odgarnął włosy z czoła i sięgnął po odłożony na szafkę pakiecik. Zębami rozerwał brzeg folii i przybrał swoją męskość w gumowy płaszczyk.

Merri rozchyliła uda i połączyli się. Chwilę trwali nieruchomo, jakby zdziwieni tym, co zrobili. Poczuli się u celu, coś się spełniło, choć niby dopiero miało się spełnić. Zamieszkali w sobie. Oto byli w domu. A więc to drugi człowiek jest naszym pierwszym domem... ?

Podjęli wspólny rytm. Zrazu powolny (bo gdzież mają się spieszyć ludzie, którzy są u celu), potem coraz szybszy, niemal wściekły. Prawie rozdrażnieni dotarli do mety i przekroczyli ją. Przeżyli rozkosz, tracąc ją tym samym. Ale wciąż byli w sobie nawzajem, w swoich sercach. Byli w domu.

Czy naprawdę w domu? przebiegło przez myśl Merri. Przecież za chwilę czeka ją bezdomność, gdy powie

Tyse'owi, kim w rzeczywistości jest. A on z jej powodu zacznie cierpieć.

Wobec tego nie spieszymy się z chwilą prawdy, postanowiła.

Zwinęła się u boku swego mężczyzny i zaczęła drzemać. Prawda kłamie, gdy rani tych, których kochamy, uprzytomniła sobie resztką świadomości.

Następnego dnia była piękna pogoda, a na ranczu Tyso—na zaczął się piknik dla donatorów. Merri zdumiał wielki rożen, na którym Tyse umieścił cały połec wołowiny, prawdopodobnie szynkę, i obracał to korbką nad ogniem, aż mięso zaczęło wydzielać z siebie rozkoszne wonie.

Za chwilę mieli przyjechać pierwsi goście. Tyson był w znakomitym humorze i wydawał się mieć mnóstwo energii.

To odwrotnie niż ja, pomyślała Merri. Ona sama czuła się wyczerpana po ich miłosnej nocy i właściwie ledwie stała na nogach. Jednak uśmiechała się i starała się być dzielna.

- Wyglądasz chyba na szczęśliwą? - zauważyła Jewel, która pojawiła się na tarasie z koszykiem pieczywa. - Czy to dlatego, że piknik ci się udał, czy też... że Tyson wreszcie wrócił?

Wyglądam na szczęśliwą?

Cóż, może i była szczęśliwa... Chociaż klęska czaiła się tak blisko.

- Pewnie z obu powodów - postarała się uśmiechnąć.

Jewel postawiła koszyk i skinęła ręką, przywołując Merri bliżej.

- Zauważyłam, jak na ciebie patrzy ten mój chłopak. Coś mi się zdaje, że oboje cieszycie się bardzo z jego powrotu do domu.

Merri automatycznie zerknęła w stronę Tysona, zajętego roznem. Z podwiniętymi rękawami, w swojej błękitnej koszuli i nowych dżinsach, i oświetlony ogniskiem, wydawał się wcieleniem męskości.

- Umiąłeś w jakiś sposób sprawić - Jewel pochyliła się ku Merri - że Tyse zupełnie inaczej teraz wygląda i postępuje... Mam nadzieję, że instynkt mnie nie myli - dodała - i że ty masz względem niego poważne zamiary, a nie tylko grasz o lepszą pracę?

Merri skupiła spojrzenie na pani Adams.

- Z całą pewnością traktuję Tyse'a poważnie. W istocie kocham go każdej sekundy więcej. I nie potrzebuję lepszej pracy niż ta, którą już mam.

- To się cieszę - powiedziała Jewel. - Lubię Tysona i życzę mu jak najlepiej. Wiem, że bywa trudny i zadziorny, ale też bardzo mu się wygładził charakter, od kiedy jesteś blisko niego...

Jewel zawahała się, a Merri zrozumiała, że ciotka stara się ważyć słowa.

-I powiem ci - podjęła Jewel - że pierwszy raz, odkąd pamiętam, coś złagodniało w jego spojrzeniu, w którym zawsze był jakiś ból i zaczepka. To niewątpliwie twoja zasługa, kochanie.

Ból? Tak, rzeczywiście, coś takiego Merri dostrzegła w Tysonie, od razu na początku, gdy się poznawali.

- Jeśli to nie tajemnica, może mi powiesz - Merri wzięła Jewel pod ramię - dlaczego był taki zadziorny? Czy to zaczęło się od zerwania zaręczyn z tą, z tą...

- Z Diane - uzupełniła Jewel. - Ale to nie tylko to...

Wszystko zaczęło się dużo wcześniej, właściwie od tamtego wypadku z jego rodzicami.

- Z rodzicami? Mówił mi coś o tym.

- No właśnie. Tyse miał zaledwie pięć lat, gdy został na świecie sam. I najbardziej wtedy przeżył utratę matki. Tamtego dnia obiecała, że po południu odbierze go ode mnie, ale po południu już nie żyła. On płakał i płakał, i nie mógł uwierzyć, że moja siostra go zawiiodła. „Mama zawsze dotrzymuje słowa, nigdy nie kłamie” - tak rozpacział.

Jewel wierzchem dłoni osuszyła łzy.

- Od tamtej pory zrobił się nieufny. Rósł z tą zadrą, z jakimś podskórnym przekonaniem, że nikomu nie można do końca wierzyć... A co do Diane, to zdaje się, że nawet nie był specjalnie zaskoczony, gdy go zdradziła. Postąpiła wedle jego przewidywań, według tego przekonania o ludziach, które sobie wyrobił.

Merri też otarła oczy. Bardzo ją poruszył dramat małego chłopca. Z całego serca współczuła Tyse'owi, który nagle został sam na świecie.

Nigdy bym sobie nie wybaczyła, pomyślała, gdyby z mojego powodu miał teraz znowu przestać ufać ludziom.

Zrobiła mocne postanowienie, że wyjawi mu całą prawdę o sobie przed następnym spotkaniem miłosnym. Musi zażykować. Nie wolno jej z Tysonem Steele'em postępować nieuczciwie.

Spotkały się ich spojrzenia i Tyson z daleka pomachał jej ręką. Nie mógł jednak podejść do Merri, bo właśnie zagadał do niego Frank Jarvis, prawnik firmy.

- Słyszałem, słyszałem - Frank poklepał szefa po ramieniu. - Sam prezydent Stanów cię wzywał...

- Niby tak - skrzywił się Tyson. - Ale ta moja misja nie udała się... A jak twoja misja? Wiesz, ta nowoorleańska.

- Nowoorleańska? - Frank uniósł brwi. - A, chodzi ci o tę cygańską wróżbitkę.

- No właśnie. Co z nią? Miałeś ją wytropić.

- Miałem. Ale wynajęty detektyw rozkłada ręce. Nikt w rejonie Rynku Francuskiego nie widział takiej osoby.

- Niemożliwe. Przecież miała tam swój stolik z tarotem czy czymś takim. Sam z nią rozmawiałem, i mój kuzyn Nick też rozmawiał.

- Detektyw pytał różnych tarociarzy i wróżbitów w okolicy. Oni twierdzą, że w tych czasach nikt się już nie przebiera w cygańskie łachy... Chociaż obiło się im o uszy nazwisko Passionaty Chagari, owszem. Ale to ponoć jakaś postać legendarna, chyba fikcyjna.

- Fikcyjna? - Tyson zmarszczył czoło. - Ja od tej fikcji dostałem to magiczne lustro. Co za fikcja!

Frank uśmiechnął się.

- Cóż, mogę jej dalej szukać. Dla ciebie zrobię wszystko.

- To dobrze - Tyson rozchmurzył się. - Jak wszystko, to wszystko. Bo właśnie miałbym kolejną prośbę.

- Aha. No to wal śmiało. Ty tu jesteś szefem.

- Idzie o Merri... - zaczął Tyson. - Chciałbym ją ustanowić przewodniczącą mojej fundacji. Przeprowadzisz to? Uważam, że byłaby najlepszą rzeczniką interesu dzieci.

Frank poruszył brwiami.

- Przeprowadzić formalnie? Zrobi się, czemu nie. I myślę,

że tak w ogóle to masz rację. Ona się do tego rzeczywiście dobrze nadaje.

- To świetnie, że się zgadzamy... Chciałbym cię jeszcze prosić, żebyś nam tu sprowadził, na ten pokaz mody, jakichś dziennikarzy z Dallas. Niech jej zrobią publicity. Tylko zorganizuj to dyskretnie, bo wystraszymy Merri. Nie uprzedzaj jej o niczym.

Jarvis zastanowił się.

- Nie uprzedzać? Są kobiety, które nie lubią niespodzianek...

- To już biorę na siebie - Tyson wykonał gest. - Już ja się postaram, żeby Merri gładko przeknęła wszystkie te nowości.

scandalmag

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Obietnice powinny być dotrzymywane. Zwłaszcza gdy człowiek obiecuje coś samemu sobie, zdecydowała Merri.

Już dawno powinna była wyjawić Tysonowi całą prawdę. A jednak wciąż tego nie robiła. Dlaczego?

Ach, było ileś wytłumaczeń... Już parę razy otwierała usta, by wyrzucić z siebie tajemnicę, lecz Tyse zamykał jej wtedy usta pocałunkiem. Albo spotykali się przy osobach trzecich. Lub też przeszkadzało coś jeszcze innego.

Westchnęła, poprawiając przed lustrem zapięcie sukienki. Było jeszcze wcześnie, lecz ona już przygotowywała się do pokazu mody, który wypadwał właśnie dziś. Schyliła się, żeby włożyć wysokie szpilki, w których miała zamiar wystąpić.

Jeszcze raz przyjrzała się sobie. Oceniła kolorystykę sukni, w powiązaniu z ciemną karnacją tej małej Rachel Garzy, z którą miały wyjść razem na wybieg. Tak, jasna czerwień będzie tu dobra.

W sumie miała wystąpić z ośmioma dziewczynkami z Nu-evo Dias. Dziewczynki okropnie cieszyły się na tę dzisiejszą imprezę. Merri także się cieszyła, chociaż jej radość nie była czysta. Nie była, ponieważ rola, w jakiej miała wystąpić, co-

fała ją niejako w czasy, gdy nazywała się jeszcze Merrill Davis-Ross i była kimś, o kim wolałaby już zapomnieć.

Usłyszała pukanie do drzwi.

- W jakim jesteś stanie, kochanie?

Oczywiście, to był Tyson.

- Już ubrana, możesz wejść.

- Szkoda, że już ubrana, myślałem, że... - zaczął od progu Ty, lecz nagle urwał. - Fiuu, aleś ty dziś piękna. Jakoś specjalnie.

- Uważasz, że ten kolor będzie dobry?

- Ja... - przełknął z trudem. - Ja cię chyba jeszcze takiej nie znałem?

Wygładziła na sobie materiał.

- Naprawdę? - Ucieszył ją ten jego zachwyty, ale i jakoś za-smucił. Ponieważ zrozumiała, że Tyse w tej chwili widzi nie ją samą, lecz tamtą, którą wolałaby już nie być, Merrill Davis-Ross.

Ach, kiedyż się skończą kłamstwa między nimi.

- Ale i ty jesteś dziś bardzo elegancki - zwróciła uwagę.

W istocie, Tyson miał na sobie wyjątkowo udany popielaty garnitur, chyba od Armaniego. Do tego włożył białą, jedwabną koszulę i krawat bordo. Wyglądał jak wzorzec przebojowego szefa, zdobywcy giełd i wszystkich damskich serc.

- Merri, kochanie - Tyson postąpił naprzód. - Przygotowałem dziś dla ciebie kilka niespodzianek. Same dobre, mam nadzieję. Ale teraz...

- Nie wiem, czy lubię niespodzianki.

Zbliżył się, ujął jej dłoń i ucałował.

- ...Ale teraz chcę ci powiedzieć coś specjalnego. Począ-

kowo zamierzałem z tym poczekać do wieczora, jak już będziemy sami, jednak ta twoja suknia, twój widok, tak mnie poruszyły, że...

Zerknęła, spłoszona.

A on mówił dalej.

- Czuję, że wiele nas łączy, Merri Davis. Nigdy w życiu nie było mi do nikogo tak blisko, jak do ciebie. Nikomu tak nie ufam, jak tobie. Dlatego - poprawił krawat - dlatego proszę cię, w tej chwili, żebyś za mnie wyszła. Merri, bądź moją partnerką, żoną... i matką moich dzieci.

Wydała z siebie cichy okrzyk, próbując cofnąć rękę.

Tyson przytrzymał jej dłoń.

- Powiedz coś - poprosił. - Dlaczego milczysz?

Spuściła oczy, nie wiedząc, co począć. Jak go nie urazić, nie zranić? Nie może mu teraz odpowiedzieć ani „tak”, ani „nie”.

Zerknęła z ukosa.

- No więc... Ale my się przecież znamy tak krótko. Chyba za krótko.

Chwycił ją w ramiona i z pasją pocałował. Czowała, że tym pocałunkiem chce wyrazić coś więcej niż namiętność. Że zawarł w nim całego siebie, to, co ma w sercu, w duszy.

- Za krótko? - W jego spojrzeniu był ogień. - Za krótko? Naprawdę nie czujesz czegoś, co czekało w nas gotowe od dawna, od zawsze?

Zacisnęło jej się gardło. Tyse miał rację: czuła to coś, o czym mówił. Łzy stanęły jej w oczach.

A jednak pokręciła głową.

- Dlaczego zaprzeczasz! - potrząsnął nią. - Przecież wiem, że mnie kochasz. Ja to wiem.

Teraz już oboje mieli łzy w oczach.

- Powiedz to - przycisnął ją do piersi. - Powiedz, że mnie kochasz...

Nie było sensu kłamać, przynajmniej nie w tej sprawie.

- Kocham cię - skinęła głową. - Tak, ale...

Ledwie to usłyszał, znów opadł ustami na jej usta. Długo ją całował, do utraty tchu.

- Nic więcej nam nie trzeba, Merri - szepnął. - Miłość pokona wszystko. Ona jest najważniejsza.

- No nie wiem... - uwolniła się od jego objęć i cofnęła na drżących nogach. - Bo jest coś, Tyse, co powinieneś o mnie wiedzieć...

- Ćśś, kochana. Cokolwiek zdarzyło się w twojej przeszłości, dziś nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, co jest teraz.

Wyciągnął rękę i kciukiem starł ślady łez z jej policzków.

- Pogadamy o tym więcej później, jeśli tak bardzo chcesz. Może wieczorem, po pokazie? A teraz - uśmiechnął się - teraz przyzwyczajajmy się do tego, że się nawzajem kochamy. Bo i ja cię serdecznie kocham, Merri. I bardzo chcę, żebyś została moją żoną.

Westchnęła, rozglądając się dokoła nieprzytomnym wzrokiem. .. Co za dzień... Błogosławiony i przeklęty. Czuła ulgę, mogąc liczyć na wyrozumiałość Tyse'a, zarazem gardziła sobą, że tak długo zwlekała z powiedzeniem temu mężczyźnie prawdy.

Bo kimże ona jest? Oto stała się bardzo podobna do własnej matki. Jest fałszywa jak ona, jak Arlene Davis-Ross. I opadł ją ten sam los - a zdawało się, że będzie można go uniknąć, uciec od niego. Przez słabość charakteru i zamiłowanie

do wygody zwodzi oto człowieka, który zasługuje wyłącznie na uczciwość... O, przeklęty los. Dlaczego nie można umknąć przed jego wyrokami?

- No dobrze - powiedziała cicho. - Więć odłożmy tę rozmowę na wieczór. Ale wtedy...

- Wtedy długo sobie pogadamy i opowiemy sobie wszystkie nasze sekrety - uśmiechnął się Tyse. - Będziemy się obejmowali, kochali i bez końca gadali. Choćby do białego rana.

Cóż za piękne rzeczy jej obiecywał. Ona też chciałaby mu obiecać coś pięknego, ale jak nie być gołosłowną? Nie umie przecież robić cudów, nie ma czarodziejkiej różdżki. Gdyby taką miała, machnęłaby nad sobą ze dwa razy i przeistoczyła się w kogoś, kim Tyse chciałby, żeby była. Stałaby się tą kobietą, którą w niej widział. Byłaby kimś naprawdę godnym miłości i szacunku.

Pociągnęła nosem, pozwalając mu się obejmować i gładzić po włosach. Jaka szkoda, że prawdziwe czary nie istnieją na tym świecie.

Passionata Chagari wytarła nos i zaczęła cicho kłać nad swą kryształową kulą. Czy magiczny dar jej ojca miał być ostatecznie poniechany? Dlaczego ten młody Steele do dziś nie tknął zakłętego zwierciadła? Gdyby do niego zajrzał, wiedziałby już wszystko o swym losie, zdołałby się przyzwyczaić do tego, co go czeka.

Kryształową kulę zasnuła mgła, a Passionata wzniosła oczy w górę, ku niebu, z którego powinien być na nią spoglądać ojciec.

- Przecież wiesz, że nie mogę ich do niczego zmusić - powiedziała. - Machnęłabym już na nich ręką, gdyby nie to, że coś jesteśmy winni Lucylli Steele... Ten młody człowiek jest już tak blisko swego celu. Ale jeśli chociaż raz nie zerknie do lusterka, może zgubić swoją drogę i przegrać los.

Westchnęła.

- A może to ja coś pokręciłam, ojczy? Może Tysonowi dostał się niewłaściwy podarunek? W razie czego - wybac mi.

Stojąc w kulisach hali widowiskowej, gdzie miał się odbyć pokaz i obiad, Merri czuła gęsią skórę. Może dlatego, że był tu jakiś przeciąg? Lecz tak w ogóle to popołudnie było gorące i wiele matek z córkami, czekających na swoją kolejkę do wybiegu, ocierało pot z czoła.

Targnęło ją nagłe przecucie. Coś było tu jednak nie tak. Rozejrzała się. Ale co miałyby być nie tak? Dookoła nie widziała żadnych wycelowanych w siebie obiektywów. Merri osobiście zadbała, by na liście zaproszonych gości nie znaleźli się żadni fotoreporterzy.

Może to dręczy ją nieczyste sumienie, z powodu tej wciąż niezłatwionej sprawy z Tysonem... No właśnie. A co przyniesie wieczór?... Merri spróbowała odepchać od siebie wszystkie te wątpliwości. Uśmiechnęła się do nadchodzącej Rachel Garzy.

- Ładniej pani tak, bez okularów - odezwała się Rachel. - I w ogóle wygląda pani tak jakoś, jak prawdziwa modelka.

Okulary? A niech to. Od ładnych paru dni nie pamiętała, że w ogóle powinna ich używać. Zbyt bezpiecznie czuła się już w Stanville. Zanadto się tu zadomowiła.

Podziękowała małej Garzy i pomyślała, że powinna być jednak bardziej ostrożna. Niesłusznie uznaje Jewel i Tysona prawie za swoją rodzinę. Dziś jeszcze najpewniej oboje ich utraci. Znowu będzie całkiem sama, a w dodatku, wskutek swych uczynków, będzie miała nieczyste sumienie.

Och, to sumienie.

- Co zrobiłeś...? - Frank Jarvis z niedowierzaniem uniósł brwi. - O co ją poprosiłeś?

Stali obaj z Tysonem przed halą, zamierzając wrócić do środka na koniec pokazu. Wyszli, aby sprawdzić, co z reporterami, którzy mieli przybyć lada chwila.

- Poprosiłem, żeby za mnie wyszła - uśmiechnął się szeroko Tyse.

- Ale... po coś to zrobił? Dlaczego?

- Jak to dlaczego? Ponieważ się kochamy. Czego więcej trzeba?

Frank pokręcił głową.

- Przecież wy się oboje prawie nie znacie. Co wiesz tak naprawdę o przeszłości Merri Davis? To, że sprawdziła się w fundacji, nie znaczy, że musi być dobrą kandydatką na żonę. Jej przeszłość...

Tyson skrzywił się.

- Nie marudź, chłopie. Mnie nie interesuje jej przeszłość. Zresztą sam opowiadałeś, że pochodzi z dobrej rodziny.

- Niby tak. Ale jeśli teraz poluje na bogatego męża? Tak jak jej poprzedniczki?

- Co ty gadasz - obruszył się Tyse. - Od razu wyczułbym ją. Ona nie jest z takich.

- W porządku, w porządku, jak chcesz. Tylko mam nadzieję, że przynajmniej spisiecie jakąś intercyzę? Chyba że opuścił cię instynkt samozachowawczy.

Złość zapaliła się w oczach Tysona.

- Frank, coś za bardzo się wtrącasz. Ja jej ufam i radzę ci, żebyś zwłaszcza przy niej nie wyjeżdżał z żadnymi takimi *wątpliwościami*.

Jarvis wzruszył ramionami, uznając, że lepiej dalej nie spierać się z szefem. Skinął głową i ruszył w stronę ludzi z kamerami, którzy właśnie pojawili się na parkingu.

Tyson oparł się plecami o ścianę hali, przymknął oczy i spróbował się odprężyć. Pomału złość odpływała od niego. .. Cóż, Frank jest niejako zawodowo podejrzliwy. Prawnik przyzwyczajają się do tego, że ludzie kluczą, szukają sposobów, stosują chwytty Legalne i nielegalne.

On sam jednak dobrze znał Merri. Czuł, że wejrzał w jej duszę i że znalazł w niej coś, na co od dawna czekał: znalazł drugą połówkę samego siebie.

Otworzył oczy, bo grupa reporterów, gadając i paląc, stanęła u wejścia do hali. Tyson nie lubił palaczy ani w ogóle stylu działania przedstawicieli mediów, zawsze zbyt obcesowych, wścibskich i zblazowanych. Cóż jednak robić: czasem trzeba skorzystać z usług tych ludzi.

Dobiegł go strzęp rozmowy dziennikarzy.

- .. Nie pomyliło ci się coś? Jakim cudem miałyby się znaleźć w takiej dziurze?

- Stary, to na pewno ona. Setki razy widziałem ją na różnych okładkach. Zobaczysz, ustrzelimy tu jeszcze najlepsze fotki naszego życia.

O kim oni mówią, zainteresował się Tyson. Baczniej nadstawił uszu.

- ...za jej portret i jakiś wywiad dostaniesz w każdym szmatławcu pięciocyfrową sumkę. Bylibyśmy ustawieni na lata... Tylko gęba na kłódkę, nie mów innym, żeśmy rozpoznali Merrill Davis-Ross.

W Tysona jakby piorun strzelił. Doznał nagłego oświecenia. No tak!... Oni chyba mówią o jego Merri, bo o kim innym? Więc ona miałaby być tą skandalistką Merrill Davis-Ross?

Poczuł słabość w żołądku i najchętniej usiadłby w tym miejscu, w którym właśnie stał.

Więc to dlatego wydawało mu się, że ją tak dobrze zna, niby drugą połowę własnej duszy... Jednak to, co brał za drugą połowę samego siebie, było tylko pamięcią jej twarzy z prasy i telewizji.

Zacisnął pięści, nagle pełen wściekłości. Czyli że po raz któryś w życiu dał się wystrychnąć na dudka... Niech to wszyscy diabli, niech tę babę piorun spali!

Ruszył przed siebie, z zamiarem natychmiastowego zapytania panny Davis-Ross, dlaczego go tak niecnie oszukała. I co ma na swoją obronę, jeżeli w ogóle coś ma.

Cały trząsał się z oburzenia. Dla kłamstwa nie ma przebaczenia. I, na Boga, on jej to powie, prosto w oczy, w te oczy, które próbowała schować na fałszywych okularach... A potem się pożegnają, bardzo szybko i raz na zawsze.

Niech się wreszcie skończy cała ta haniebna historia.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Merri, oklaskiwana, kończyła siódme już wyjście na wybieg. Zarazem rośło w niej przecucie nadciągającej kłęski. Doniesiono jej, że pod halą zjawili się fotoreporterzy.

O dziwo, jednak intuicja ostrzegła ją jakby przed czymś innym niż ci natrętni ludzie z prasy. Przed czym?

W kulisach szybko przebrała się do ostatniego występu. Rozejrzała się za Lupe, najmłodszą wychowanką Nuevo Dias. Gdzież ta śliczna czterolatka?

Do Merri podeszła jedna z wychowawczyń. Miała niewyraźną minę.

- Bardzo przepraszam - powiedziała - ale musieliśmy Lupe odesłać z powrotem na ranczo. Bo tak się stało, że... że mała z napięcia i przejęcia nie wytrzymała i zanieczyściła swoją sukieneczkę.

- Och, nie - Merri poczuła się nagle winna. - Biedna małeńka. Trzeba ją będzie jakoś pocieszyć.

- Już pomyślałyśmy o tym. Ma obiecane duże lody po obiedzie. Lupe po lodach zawsze odzyskuje humor.

Merri pokiwała głową, ale wciąż miała nieczyste sumienie.

- Po lunchu z naszymi paniami pojedę na ranczo odwiedzić ją. Ja...

Chciała mówić coś jeszcze, gdy nagle poczuła, że ktoś za nią stoi.

- Panno Davis-Ross - odezwał się znajomy głos - nie może pani stąd odjechać, nie pokazawszy się najpierw fotografom.

Obejrzała się. Oczywiście, to dziwnie oficjalne zdanie wypowiedział Tyson.

I nazwał mnie Davis-Ross. O mój Boże... Nie!

- A więc ty już wiesz - spuściła głowę.

- Czy moglibyśmy zostać sami? - Tyson zwrócił się do wychowawczyni.

Kobieta szybko odeszła, a on przysiadł bokiem na jednym ze stolików.

- Oczywiście, że wiem. Chyba nie sądziłaś, że dam się oszukiwać bez końca. Niezależnie od tego, co o mnie myślisz, nie jestem aż tak wielkim durniem.

Jego głos brzmiał głucho; spojrzenie było martwe. Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie.

- Przepraszam - szepnęła. - Dziś rano próbowałam ci ostrzec, powiedzieć ci coś o sobie. Bardzo chciałam ci wyjaśnić....

- Dzięki. Rychło w czas.

-Tyse...

W jego oczach zapaliła się nagła wściekłość.

- Oszukiwałaś mnie! Całe tygodnie! I nie tylko mnie, również Jewel i tyle innych osób. Po co ci to było! Czy to jakiś nowy styl promocji, uprawiany przez gwiazdy?

Wyprostowała się.

- Absolutnie nie. Powiedziałabym, że odwrotnie. -

Odgarnęła włosy z czoła. - Ja w Stanville szukałam właśnie ucieczki od fałszu, od całego blichtru życia. Chciałam być wreszcie sobą, chciałam robić coś pożytecznego, sensownego...

- A jednak mnie okłamywałaś - przerwał jej. - Dlaczego? Gdybyś mi od razu wyjaśniła, wszystko bym zrozumiał...

Głos mu się załamał. Merri pomyślała, że strasznie przydałaby jej się teraz ta czarodziejska różdżka, bo wszystko zniesie, tylko nie ból ukochanego.

- Sama nie wiem... - zaczęła. - Może wpieryw chciałam się sprawdzić jako ktoś anonimowy... W zupełnie nowym miejscu i warunkach... To pewnie głupie. Tyse, słuchaj, ja naprawdę nie zamierzałam kłamać bez końca. Dziś rano...

- A kiedy byliśmy ze sobą blisko, też oszukiwałaś? - utkwiał w niej ostre spojrzenie. - Odgrywałaś coś? I twoje słowo „kocham” było nieprawdziwe?

Szybko pokręciła głową, nie mogąc jednak wydobyć z siebie głosu.

Tyson odwrócił się i zaczął iść w stronę drzwi. Zatrzymał się jednak.

- Cholera - zamruczał - Wiesz, że chciałem cię zrobić prezeską naszej fundacji? Myślałem, że już cię dobrze znam. Chciałem ci zrobić publicity, sprosiłem reporterów...

- Ależ znasz mnie - zrobiła krok w jego stronę.

- Teraz jednak - podjął, jakby nie słyszał jej słów - narobisz sobie raczej zdjęć jako pop-gwiazda, nie rzeczniczka tych biednych sierot. Bo taka jesteś...

- Brzydko o mnie myślisz - westchnęła.

On wciąż wydawał się głuchy na jej słowa.

- Wiesz co - spojrzał na nią. - Ty już u mnie nie pracujesz. Spakuj się jak najszybciej i wracaj do swojego prawdziwego świata, tam, gdzie należysz. Tyle ci powiem. Żegnaj, Merri.

Jej oczy napełniły się łzami.

- Żegnaj - odrzekła drżącym głosem. - Ale wiedz... że mówiąc „kocham”, naprawdę nie kłamałam.

Chciał jej rzucić w twarz „znów oszukujesz!”, jednak coś go powstrzymało. Może zabrakło mu już po prostu sił.

Stał w miejscu, a Merri, powoli, minęła go, stukając swymi szpilkami. I to stukanie wydało mu się dziwnie zaświato-we, jakby ktoś wbijał gwoździe w wieko nad jego głową.

Żegnaj moje życie, pomyślał. Żegnaj. Na zawsze.

Kilka godzin później, gdy słońce chowało się już za horyzont, Tyse nerwowo chodził tam i z powrotem po swej stajni dla źrebiąt. Było to jedyne miejsce, gdzie mógł szukać ukojenia dla zbolełego serca.

Ale i to dziś jakoś nie działało. W głowie tłukła mu się tylko jedna myśl: „Merri”. Wszystko obracało się wokół kobiety, którą utracił.

Utracił ją, ale może raczej odepchnął od siebie? W głowie miał zamęt, w sercu ból, a jego wszystkie zmysły tęskniły do niej jak szalone.

Niech to wszyscy diabli. Na dokładkę zaczęły go nagle oblegać różne pop-media, domagając się wywiadu w sprawie panny Davis-Ross. Musiał powyłączać swoje telefony, a przy bramie rancza ustawić pracowników, odpierających ataki paparazzich z długimi obiektywami.

Ze złością kopnął czubkiem kowbojskiego buta brykiet słomy. To łożenie po stajni jest bezcelowe, uznał. Może lepiej posiedzieć trochę przy komputerze, śledząc międzynarodowy rynek akcji? Kolumny cyfr przegniają z jego myśli twarz Merri.

Wyszedł na zewnątrz, ale nim zdążył dojść do domu, zobaczył samochód ciotki Jewel, wyłaniający się zza rogu budynku.

Jewel zahamowała gwałtownie i wyskoczyła z auta. Wyglądała raczej groźnie.

- Co cię sprowadza, ciociu? - spytał ostrożnie.
- Tysonie Adamsie Steele - powitała go, biorąc się pod boki. - Zaraz się dowiesz. Chodźmy no do środka.

Poszedł za nią, przez kuchnię i hall. W biurze ciotka z rozmachem zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Siadaj - rozkazała, wskazując mu krzesło. Sama opadła na jego fotel za biurkiem.

Przez chwilę spoglądała w milczeniu.

- Pozwolisz, że ochłonę - odezwała się w końcu. - Ledwie przedarłam się przez ten motłoch z obiektywami.

- Gdybym wiedział, że przyjedziesz, kazałbym pracownikom...

Jewel machnęła ręką.

- Daj spokój. Lepiej pomówmy od razu o Merri. Dlaczego goś ją zwolnił? Co ci w ogóle przyszło do tej głupiej głowy?

Tyson nerwowo przeczesał palcami włosy.

- Ona mnie okłamywała, ciociu.
- Okłamywała? Co za bzdura. Pracowała uczciwie, dla dobra dzieci, dla twojej chwały i na pożytek całej lokalnej spo-

łeczności. Zataiła może, kim była, ale jakie to ma znaczenie?

- Dla mnie ma.

- Ty egoisto! - ciotka aż uniosła się w fotelu. - Więc aż takiego durnia wychowałam? Co cię to obchodzi, że kiedyś była modelką? Co to w ogóle za grzech, być modelką?

- Ale to skandalistka.

- E, tam. Przejmujesz się plotkami w kolorowych pisemkach? Zresztą jeśli chcesz wiedzieć, ta awantura z gejem, z którym była zaręczona... - Jewel podniosła się z fotela i zaczęła chodzić po pokoju. - Ona ma po prostu zbyt dobre serce. Chciała uratować kolegę z pracy, modela, przed insynuacjami prasy. A potem.

- Ciociu, skąd znasz takie szczegóły?

Jewel wzruszyła ramionami.

- Wiesz, kobiety czytają pisemka... A poza tym przekupiłam dziś jednego reportera i on mi wszystko wyjaśnił.

Tyson wysoko uniósł brwi.

- Przekupiłaś...?

- A tak. Użyłam do tego naszych ciasteczek z loterii fantowej. Nie ma lepszego sposobu na wydobycie prawdy z mężczyzny, jak ciasteczka z loterii fantowej.

Coś poruszyło się w sercu Tyse'a. Spróbował spojrzeć na Merri oczami Jewel. W istocie, wady tej dziewczyny nie są może tak wielkie, jak mu się zdawało? A za to zalety są bezsprzeczne. Kompetencja i pracowitość, urok i talenty opiekuńcze... No i ta cudowna kobiecość...

- A jednak nie powinna była mnie oszukiwać - jęknął. - Nie mnie! Nie zasłużyłem sobie na to.

- Phh - Jewel wydeła usta. - Aleś ty nudny. Przyjrzyj się lepiej swemu życiu. Skreślając tę dziewczynę, przekreślasz może własne szanse znalezienia szczęścia. Pierwsze od wielu lat... Ale rób jak chcesz - sięgnęła po torebkę. - Każdy jest kowalem swego losu. Ja pojedę teraz do domu zająć się własnymi interesami. A ty możesz się zadrećzać głupstwami, jeśli chcesz. Cześć!

Ty namarszczył się, czując zamęt w głowie, Jewel zaś ruszyła do drzwi, szarpnęła za klamkę i przekroczyła próg. Po półminucie zaszumiał silnik jej auta.

Kiedy odjechała, Tyson podszedł do biurka i opadł na swój skórzany fotel. Wziął głęboki wdech, próbując pozbierać myśli. Lecz nagle wydało mu się, że poczuł jakby zapach lawendy i wanilii. Jakim cudem? Co to za omam?... Tak pachnie Merri, ale przecież jej tu nie ma. Jewel rozsiewa inne wonie, coś zbliżonego do cynamonu i mydła palmowego. Czyżby gdzieś po kątach czały się tu jeszcze jakieś wspomnienia po odwiedzinach panny Davis sprzed paru dni?

Tyson przesunął palcami po blacie swego biurka. A więc ona była tutaj tak niedawno... I, zaraz, zaraz, coś tutaj ogłądała. .. Ach tak, to cygańskie lusterko!

Rozejrzał się zlokalizował spojrzeniem staroświecki przedmiot. Leżał grzbietem do góry wśród sterty teczek, dyскетek i broszur.

Przysunął sobie zwierciadełko. Na jego oprawie dostrzegł swoje nazwisko, starannie wygrawerowane.

- Dziwne - pokręcił głową. - Dziwne.

Odchylił się w fotelu, zaplatając ręce na karku. W tym ni-

by-zwierzciadełku Merri miała oglądać swe odbicie. Lecz jakim cudem: w kawałku zwykłego szkła?

Zamknął oczy, a wtedy usłyszał wyraźny głos:

„Odwróć to, Tysonie Steele. Lusterko ukaże ci całą prawdę”.

Wzdrygnął się i niemal poderwał z fotela. Chyba już sfiksowałem, pomyślał. Chciał wstać, ale coś przykuło go do miejsca i zmusiło do pochylenia się nad podarunkiem Cyganki.

Jeszcze walczył z sobą, lecz w końcu obrócił przedmiot i spojrzał w szkło, które nie powinno być lustrzane.

A jednak było! Coś się w nim przez chwilę mgliło, lecz zaraz zasrebrzyło się i wyraźnie odbiło twarz Tysona. Znowu się zamgliło, po czym ukazało... ależ tak, ukazało całą postać Merri.

- Zwariowałem - zaszeptał Tyson. - Chyba, że są jednak na świecie cuda...?

Zachłannie wpatrywał się w zwierciadełko, czując, jak coraz mocniej wali mu serce. A więc znów widzi tę, którą, zdawało mu się, na zawsze pożegnał...

W magicznym świecie ktoś wykonał zbliżenie i oto na Tysona spojrzały same oczy Merri. Ach, jakie to piękne oczy, przebiegło mu przez myśl. Szmaragd, zieleń wiosennych traw, Morze Sargassowe...

Zaprzagnął ucałować te oczy, lecz wtedy obrazek znowu się zmienił. Ukazała się zabawna scenka z początków ich znajomości: oto Merri nurkująca pod biurko, w poszukiwaniu swych pantofli. A zaraz potem deszcz, ta ulewa, i ratowanie przeciekającego domu. I czym to się dla nich

skończyło: pierwszym pocałunkiem, pierwszymi pieszczotami.

Następnie zobaczył Merri próbującą się wycofać, błagającą go, by nie wdzierał się w jej życie. Jednak każde ich zbliżenie dowodziło, że są dla siebie po prostu stworzeni, że ich temperamenty świetnie ze sobą współgrają.

Musiał nagle potrzeć swój splot słoneczny, bo coś zaczęło go w nim mocno uciskać. I ledwie zniósł następną wizję, ukazującą piękną Merrill Davis-Ross w czerwonej sukni i na obcasach. Przypomniawszy sobie panikę w jej oczach, gdy powiedział, że ją kocha. Ja też cię kocham, odrzekła. Ale ty czegoś o mnie nie wiesz... Musisz mnie wysłuchać...

Jęknął i poczuł, że łyży go pieką w kącikach oczu. Przecież wyraźnie chciała mu powiedzieć prawdę. No i przyznała, że go kocha.

Jestem podły, pomyślał. Najpierw za wszelką cenę próbowałem ją zdobyć. A potem ją od siebie odepchnąłem.

Jewel ma rację. Tylko egoista i głupiec postępuje w ten sposób. Szczęście było tak blisko, ale teraz wszystko przepadło.

A może jeszcze nie przepadło? Może coś da się odwrócić?

Tyson gwałtownie podniósł się z fotela. Pora działać, uznał. Nawet jeśli nie prześlaga Merri, to zawsze można i należy ją przeprosić.

Szybkim krokiem ruszył do drzwi.

Merri zatrzymała się w przydrożnej kafejce, wiele mil od Stanville. Potrzebowała odprężenia po dramatycznym dniu.

Miała też nadzieję, że paparazzi dadzą jej już spokój. Udzieliła im przecież iluś wywiadów po pokazie mody.

Niestety. Na parkingu przed lokalem zaczął się ruch. Zza szyb błysnęły flesze. Do wnętrza weszła ekipa telewizyjna.

- Można - raczej stwierdził, niż zapytał, pewny siebie reporter z mikrofonem. - Panno Davis-Ross, przed czym pani tak ucieka? Przed Tysonem Steele'em?

Zamrugała oczami, oślepiona reflektorem.

- Przed niczym nie uciekam - odrzekła cicho.

Reporter uśmiechnął się ironicznie.

- Proszę lepiej powiedzieć, co panią łączyło z tym milionerem.

- Nic nie łączyło - zasłoniła się kubkiem z kawą. - Zatrudnił mnie w Stanville, gdy postanowiłam zacząć nowe życie.

- To bujda - odezwał się ktoś z tłumku dziennikarzy. - Byli kochankami.

- Ach tak - przedstawiciel telewizji przysiadł się do stolika Merri. - Słyszałem, że poprzedni pani kochanek był gejem. Czy to prawda?

Merri spuściła oczy. Poczowała, że robi jej się gorąco.

- Skąd ten pani dziwny gust? - nacierał reporter. - Czy Tyson Steele też jest...

Dziennikarz nie dokończył, bo czyjeś mocne ramię wyrzuciło się spoza kręgu światła i złapało go za kołnierz. Po chwili reporter leżał na podłodze.

Przygasł reflektor i wtedy Merri zobaczyła, że pogromcą paparazziego jest Tyse.

- *Zjeżdżaj*, kolego - Tyse pochylił się nad powalonym. - I nie waż się więcej zbliżyć do tej pani, rozumiano?

- Ja... ja... - wyjąkał tamten. - Ja pana oskarżę. To jest napad! Mamy materiał filmowy.

- Nic nie macie - Tyson podszedł do kamerzysty i zażądał kasety. Kamerzysta się nie opierał.

Tyson wrócił do Merri.

- Nic ci nie jest? - zapytał. - Oni nie będą cię więcej dręczyć.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jak długo ma jeszcze trwać ten dramatyczny dzień?

W następnej chwili do lokalu wkroczyli ludzie szeryfa. Skąd się tak prędko wzięli? Funkcjonariusze zaczęli opróżniać kafejkę z dziennikarzy.

- Ci państwo nie życzą sobie waszych usług - tłumaczył paparazzim dowódca oddziału w pilśniowym kapeluszu i ze srebrną gwiazdą na piersi.

Kiedy w kafejce zrobiło się cicho, Merri spytała Tysona:

- Coś ty najlepszego zrobił? Pobiłeś tego człowieka. Aż dziwne, że policja nie ciebie zgrnęła.

- I nie zgarnie - wzruszył ramionami Tyson. - W ogóle nie ma o czym mówić. Posłuchaj, Merri...

- Powiedz, po coś tu za mną przyjechał? - przerwała mu. - Zdawało mi się, że wyjaśniliśmy sobie wszystko. Chciałam usunąć się z twego życia, tak jak sobie życzyłeś.

W jej słowach zadrgał ból, od którego Tysonowi ścisnęło się serce.

- Nie, nie chcę, żebyś usuwała się z mego życia - powie-

dział cicho. - Wybacz, że byłem taki głupi, pewnie głupszy od tego faceta z mikrofonem. Wybaczysz mi?

- Ale dlaczego, co się stało...? - przegarnęła sobie włosy ręką. - Nic się przecież nie zmieniło. Ja już nie będę tą niewinną Merri Davis, którą wydawało ci się, że pokochałeś. - Chwilę milczała. - I nie będę też Merrill Davis-Ross, nie po tym, co z tobą przeżyłam...

Zbliżył się do niej, powodowany nieodpartą potrzebą objęcia jej, zamknięcia w ramionach jej kształtnego, tak dobrze poznanego ciała.

- A co byś powiedziała na niewracanie do żadnej z tych dwóch ról? Jest przecież trzecie wyjście: możesz się stać panią Merri Steele. Co ty na to?

- Jak to, Tyse? - szepnęła, prawie bez tchu. - Nie myślę, żebyśmy jeszcze mogli...

Poczuł jakąś dziwną panikę w żołądku i zdał sobie sprawę, że gdyby teraz musiał paść na kolana i błagać ją, na pewno by to zrobił.

A ona by go wysłuchała. Bo chyba nie przegnała go jeszcze ze swego serca. Taką miał nadzieję.

Ujął ją za ramiona, opierając swoje czoło o jej czoło. Zamknął oczy.

- Przez większą część życia byłem arogantem, Merri - powiedział. - To z powodu nagłej śmierci matki, która naznaczyła moje wszystkie związki z kobietami. Zawsze strasznie pragnąłem miłości, ale odpychałem ją, ze strachu przed zdradą.

Westchnął.

- ..I ciebie też próbowałem odepchnąć, pod byle preteks-

tem. Głupi byłem. Bardzo głupi: wiem, że drugiej takiej istoty jak ty nie spotkam już na świecie. Przebacz mi, Merri, proszę cię.

Z wahaniem wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku.

On pocałował ją we włosy.

- Nieważne, jak się nazywasz - powiedział - za kogo się przebierasz i co kiedyś tam robiłaś. Ważne, co my robimy ze sobą i kim my jesteśmy dla siebie. Tylko to się liczy.

Objęła go w pasie.

- Naprawdę, Tyse?... Strasznie to bolało, kiedy myślałam, że już nigdy więcej się nie zobaczymy. Ja...

- Wybacz mi, przepraszam - zamruczał jej do ucha. - Ja też cierpiałem. Chociaż wiem, że sam sobie byłem winny... Daj mi parę setek lat, żebym cię mógł jakoś przebłagać. - Zajrzał jej w oczy i uśmiechnął się.

Odpowiedziała uśmiechem, a wtedy on, nie zważając na to, że kafejka nie jest pusta, zaczął ją całować jak szalenię. Zarazem przeleciało mu przez głowę, że gdyby na parkingu ocaleli jeszcze jacyś paparazzi, powinny by teraz zacząć błyskać flesze.

Ale nic nie zaczęło błyskać.

Zresztą mniejsza z tym, co działo się na zewnątrz. Ważne było to, że oto właśnie znalazł swoje szczęście i że nie zamierzał go już nigdy wypuścić z rąk.

Tuląc Merri, przypomniał sobie wróżby Passionaty Chagari. Są więc na świecie cuda, pomyślał. Na pewno są cuda i czary.

Spojrzał w twarz swej ukochanej, w jej błyszczące oczy.

Oto czarodziejskie światło, dwa magiczne lusterka. Pochylił się i ucałował te oczy. Wiedział, że chce się w nich przeglądać do końca świata. A może i po końcu świata, jeśli to prawda, że dusza człowieka żyje również po życiu.

(Ale dlaczego dusza nie miałaby żyć po życiu?)

scandalous

EPILOG

- No tak... - stara Cyganka odchyliła się w fotelu, gdy jej kryształową kulę zasnuła mgła.

Splotła na podołku dłonie i zakreśliła młynka kciukami.

- Całkiem ładnie - zamruczała do siebie. - Tyson Steele *jest* uratowany i jego ukochana też... Choć jak na mój gust, oboje zanadto już byli blisko kłeski.

Wzniosła oczy do nieba.

- Mój ojciec i królu - powiedziała. - Naszym następnym podopiecznym nie pozostawię już tyle wolności, wybac. Nie zniósłabym jakiegś głupiej katastrofy... A przeczuwam, że potomkowie Tysona będą mieli równie trudne jak on charakterki. Zwłaszcza ten zapowiadany Chase Severin.

Uśmiechnęła się.

- Wierz mi, nie opuszczę chłopca w biedzie i zamierzam być skuteczna... Ja ci to przysięgam, tato. Możesz na mnie polegać.

Przysięgam ci, tato!